Nr. 10. Kraków, w październiku 1903 r. Rok IV.



Pismo dla kobiet

wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor.	zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal.	pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, II. p.

O wyprawie wiedeńskiej z 1683 roku.

Działo się to 220 lat temu we wrześniu. 1683 r., gdy stara stolica Habsburgów, Wiedeń, dobywał ostatek sił broniąc się przed potęgą wojsk tureckich. Nieszczęśliwe miasto, oblężone od kilku tygodni, wystawione było na wszystkie klęski i niedole wojny, liczyło nie więcej nad 23.000 obrońców, podczas gdy nieprzyjaciel rozporządzał siłą 200.000 ludzi. Nieprzeliczone mnóstwo białych namiotów tureckich otaczało je dokoła w 7-milowym obrębie, codziennie janczarowie, czyli żołnierze tureccy, dopuszczali do murów gwałtowne szturmy, kopali miny podziemne, usiłowali wedrzeć się do miasta, bronionego bohatersko przez garstkę żołnierzy i uzbrojonych mieszczan pod wodzą hr. Stahremberga. Walki to krwawe były, zacięte, w niedostatku broni walczono często na kije, miotano kamienie i cegły, tłoczono Turków drągami, rzucano na nich belki. Nieprzyjaciel ponosił ciężkie straty, ale długie oblężenie przerzedziło szczupłe szeregi obrońców, brakowało zapasów wojennych, kul i prochu i żywności, mury i wieże świeciły szczerbami, w dodatku panujące choroby dziesiątkowały mieszkańców. W początkach września położenie było rozpaczliwe, wyczerpywały się siły, wybuchające co chwila miny coraz szersze w murach robiły wyłomy, słabła odwaga — jeszcze dni kilka, a zdawało się nieuchronnem, że stara stolica ulegnie przemocy, że Turek na wieżach kościołów zatknie półksiężyce i panowanie swoje posunie w sam środek Europy. Największe niebezpieczeństwo groziło chrześcijaństwu...

I cóż w chwili tej robił władca nieszczęśliwego miasta, naturalny jego obrońca, cesarz Leopold? nie stał on na czele swojego ludu, nie dzielił z nim trudów wojennych, bezpiecznego schronienia szukał daleko, poza obrębem zagrożonych krajów. Oczy wszyst-

kich zwróciły się wtedy ku wschodowi, ku Polsce, panował tam dzielny Jan III. Sobieski; niejednokrotnie już potykał się on z Turkami, nieprzyjaciółmi krzyża; zwycięstwu pod Chocimem zawdzięczał sławę swoją i królewską koronę, i teraz na głos posła cesarskiego, na wezwanie papieża, król Jan nie wahał się, zebrał szybko około 30.000 najlepszego wojska, i podążył na odsiecz oblężonemu miastu. Każda chwila droga była, każdy dzień zwłoki mógł sprowadzić poddanie się miasta.

Pod rozkazy króla Jana poddali się książęta niemieccy, którzy na wezwanie cesarza pospieszyli dla obrony Wiednia. Sobieski nakreślił plan walki i sam osobiście kierował jego wykonaniem. Dnia 11-go września, po długim, męczącym, niebezpiecznym pochodzie, armia chrześcijańska stanęła na szczycie Kahlenbergu, wzgórza leżącego opodal miasta, a nazajutrz o świcie rozpoczęła się bitwa. Janczarowie tureccy walczyli z niewymowną dzielnością, ale sprostać nie mogli wojsku polskiemu, skrzydlaci husarze, z królem na czele, z głośnym krzykiem: „Jezus, Marya ratuj“ — rzucili się na nieprzyjaciół, najkrwawszy bój wrzał dokoła zielonej chorągwi proroka, aż wreszcie po rozpaczliwych, obustronnych wysiłkach, rozstrzygnęło się zwycięstwo na korzyść wojsk chrześcijańskich. Turcy poczęli pierzchać, sam wielki Wezyr, Kara Mustafa, któremu marzyło się o świetnych podbojach, którego duma i ambicya nie miały granic, uciekł z pola walki — uchodząc, mordowali Turcy jeńców chrześcijańskich, niszczyli wszystko, co w przerażeniu powszechnem niszczyć się dało, i ginęli sami pod orężem zwycięzców. Olbrzymie namioty Wezyra, pełne bogactw, skarbów, przedmiotów zbytku, dostały się w ręce chrześcijan. Wiedeń był wolny. A nazajutrz dzień zawitał radosny, bohaterski Jan III. wjeżdżał do oswobodzonego miasta, pełnego jeszcze ruin, gruzów, trupów, towarzyszyły mu okrzyki radości, wdzięczny lud głośno objawiał podziw, cześć i uwielbienie. Sobieski pod Wiedniem złamał na zawsze groźną dla państw europejskich potęgę turecką, ocalił cywilzacyę chrześcijańską, to też odsiecz wiedeńska, choć nie przyniosła Polsce bezpośrednich korzyści, należy do najświetniejszych kart w naszej historyi.

Nie wywdzięczyła się nam Austrya za pomoc doznaną, cesarz Leopold nie umiał należycie uczcić Sobieskiego, którego męstwo ocaliło mu stolicę — upłynął niespełna wiek jeden od odsieczy wiedeńskiej, przyszły smutne czasy upadku, rozbiorów, w których Austrya czynny wzięła udział, zagarniając część łupu bezbronnej, bezsilnej Polski. Na tle dziejów ludzkich pełnych łez, krzywd, niesprawiedliwości, pięknie zarysowuje się dzień wiedeński, widmo jarzma tureckiego przestaje odtąd grozić Europie, a imię Polski, sława bohaterskiego jej króla rozbrzmiewają donośnem echem na całym obszarze świata ucywilizowanego.

Do grobu Zasłużonych.

Jest w Krakowie na Skałce starożytny i bardzo pamiątkowy kościół pod wezwaniem św. Michała, a sławny tem, że w nim dokonał król Bolesław Śmiały zabójstwa biskupa Stanisława Szczepanowskiego, zaliczonego następnie w poczet świętych Patronów Polski. Otóż pod kościołem tym, w piwnicy czyli krypcie, urządzono przed kilkudziesięciu laty tak zwany panteon czyli miejsce wiecznego spoczynku dla ludzi Ojczyźnie naszej zasłużonych. Przeniesiono więc tam najpierw ciało dawno, bo przed czterystu kilkudziesięciu laty, zmarłego dziejopisarza polskiego Jana Długosza, a następnie, w miarę jak umierali, innych wielkich ludzi. I tak spoczywają w krypcie tej czyli w grobie Zasłużonych: poeta Wincenty Pol, powieściopisarz Józef Ignacy Kraszewski, poeta i literat Lucyan Siemieński, pieśniarz mazowiecki Teofil Lenartowicz i w ostatnich latach zgasły poeta Adam Asnyk; a teraz na wieczne leże złożyliśmy tam śmiertelne szczątki znakomitego artysty - malarza i dzielnego obywatela ś. p. Henryka Siemiradzkiego. I słusznie mu się to miejsce należało, bo między zasłużonymi był on bezsprzecznie najzasłużeńszym. On to bowiem jest twórcą wspaniałej naszej instytucyi — jedynej na cały kraj galeryi obrazów, rzeźb i pamiątek z przeszłości, tak zwanego Muzeum narodowego w Krakowie.

Henryk Siemiradzki, zdobywszy sobie wielkim talentem i ogromną pracą stanowisko cenionego w Ojczyźnie i za granicą artysty — postanowił dla ukochanego swego narodu uczynić

coś takiego, coby go na zawsze w sercu całego polskiego społeczeństwa zapisało.

Skorzystał więc ze sposobności, gdy w Krakowie r. 1879 obchodzono uroczyście jubileusz powieściopisarza Kraszewskiego i wobec zgromadzonych z całej Polski ziomków, ofiarował narodowi na własność jeden z najpiękniejszych swych obrazów p. t. „Świeczniki chrześcijaństwa", którego odtworzenie podajemy Wam dziś w załączeniu do *Przodownicy*, a który to obraz uwielbienie dla mistrza powszechnie zyskiwał. Siemiradzki dar swój wspaniały przeznaczył do powstać mającego narodowego Muzeum, jako do skarbnicy polskiej sztuki.

Ta hojna ofiara Henryka Siemiradzkiego popchnęła i innych artystów do składania na rzecz przyszłego Muzeum obrazów, rzeźb i innych cennych przedmiotów. To też w niespełna rok ufundowana tak szczodrze instytucya weszła już w życie i pomieszczoną została w górnych salach Sukiennic krakowskich. Odtąd z każdym rokiem przybywały i przybywają do Muzeum okazy coraz to rozliczniejsze i coraz kosztowniejsze, bądź jako dary osób ofiarnych, bądź też jako zakupy przez rząd, kraj lub miasto Kraków dokonywane. I dziś Muzeum nasze jest pięknym i bogatym zbiorem drogich każdemu Polakowi dzieł sztuki naszej, oraz cennych pamiątek po znakomitych naszych mężach, jak Mickiewiczu, Kościuszce itp. A to, że posiadamy dziś takie Muzeum, zawdzięczamy głównie Siemiradzkiemu, czujemy więc dla niego wdzięczność i cześć i te też uczucia nasze obecnie, po zgonie jego zaznaczyć pragnęliśmy. Więc Rada miasta Krakowa postarała się o pozwolenie przewiezienia ciała Siemiradzkiego z Warszawy, gdzie od paru miesięcy spoczywało, do Krakowa i złożenia go w owem panteonie.

Pogrzeb odbył się z ogromną wspaniałością dnia 26 września b. r. w sposób następujący:

Od wczesnego rana zaczęto przystrajać domy we flagi, którędy pochód miał postępować. Dużo wywieszono flag żałobnych, bardzo wiele też biało-niebieskich i biało-czerwonych. Na Sukiennicach z czterech stron wywieszono flagi, także u szczytu magistratu powiewała chorągiew. Latarnie na Rynku i w ulicach od Rynku do Skałki przybrano krepą, od wczesnego też rana wstrzymano ruch kołowy na wszystkich tych ulicach.

Przed godziną 8 rano Rynek zaludniać się zaczął nadzwyczajnie. Ze wszystkich stron miasta spieszyła publiczność, by dostać się do kościoła N. P. Maryi, gdzie stał już przygotowany ozdobny katafalk z trumną, kryjącą zwłoki mistrza. Liczne deputacye i delegacye, niektóre w pięknych odświętnych lub narodowych strojach, ustawiały się w Rynku, zewsząd płynęły fale, dążąc do świątyni lub czekając na pochód.

Nareszcie główne drzwi świątyni na oścież zostały otwarte, wnet też przez nie wpłynęła fala ludzka, która wypełniła olbrzymie wnętrze kościoła po brzegi. Na środku świątyni ustawiony został wysoki, tonący w zieleni i kwiatach katafalk, na nim czarna trumna ze zwłokami mistrza Henryka, wśród jasno gorejących świec.

Dookoła katafalku porządek trzymał oddział krakowskiej straży pożarnej miejskiej. Szpaler wzdłuż kościoła tworzyli starsi uczniowie szkół średnich.

U stóp katafalku stanęła wdowa po zmarłym mistrzu, pani Siemiradzka z dziećmi, przedstawiciel kraju, członek Wydziału krajowego, dr. Wereszczyński, członkowie Rad miejskich z prezydentami Krakowa i Lwowa na czele, reprezentacya Akademii Umiejętności w Krakowie, reprezentacya Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu lwowskiego, reprezentacya Towarzystwa dziennikarzy polskich, Koła artyst.-literackiego w Krakowie, Stowarzyszenie uczestników powstania polskiego z r. 1863 ze sztandarem, cechy krakowskie itd.

Nabożeństwo wśród licznego duchowieństwa odprawił przed wielkim ołtarzem ks. infułat Krzemiński. Podczas nabożeństwa chór odśpiewał wspaniałe pieśni, później „Salve Regina".

Po nabożeństwie wstąpił na kazalnicę ks. Anioł, Kapucyn, a gdy się cisza uczyniła w kościele, przemówił:

Żałobni słuchacze! Kiedy straciliśmy byt niepodległy i wszystko doczesne, kiedy utraciliśmy ziemie nasze i jej bogate plony, kiedy nie stało nam już ani królów potężnych, ani książąt możnych, ani wojewodów, ani hetmanów, kiedy obca stopa przygniotła nasze karki, na miejsce tych królów, co w grobach dawno spoczywają, dał nam Przedwieczny królów słowa i myśli szczytnej, książąt serca i natchnienia, aby w chwili zwątpienia podniecali naszego ducha przypomnieniem dawnej świetności. Jak Izraelowi Jeremiasza, zesłał nam Bóg w ostatnich czasach klęsk i nieszczęść narodowych mężów, którzy budzili ducha w narodzie w trzecie pokolenie. Dał nam mężów, którzy imię polskie czyniły sławnem na krańce świata; dał nam mężów, którzy dowiedli przed światem, że cała nasza świetna przeszłość istniała rzeczywiście. Jeżeli dzisiaj więc wysławiamy i czcimy publicznymi obchodami tych mężów, to czynimy to dlatego, że oni trzymają wysoko sztandar imienia polskiego, walczą z ciemnością, pracują dla nieśmiertelności. I dlatego gromadzimy się tak licznie dzisiaj tu w świątyni

na obchodzie uroczystym, aby pokrzepić się żywem słowem, nabrać otuchy na przyszłość i stwierdzić, że jesteśmy żyjącym narodem.

Mowca dalej skreślił życie mistrza, podniósł jego nieskalany charakter, jego zamiłowanie piękna i jego gorącą miłość kraju rodzinnego, której nie wyparł się nigdy, ani kształcąc się w Petersburgu, ani pod obcem będąc niebem. Pierwszy jego obraz, który uczynił głośnem imię Siemiradzkiego, to „Jawnogrześnica“, w którym artysta zwracał się niejako do narodu ze wskazówką, że tylko od Boga można czekać zmiłowania i przebaczenia za wszystkie grzechy. Drugim arcydziełem to „Świeczniki chrześcijaństwa“, obraz, który dowodzi konieczności poddania się woli Bożej. W myśl tego obrazu naród nie powinien żywić żądzy zemsty, tylko wyzwolenia, a ci, co naród zgnietli i ujarzmili, jak ci ówcześni gnębiciele chrześcijaństwa, przyjmą ich wiarę i miłość powezmą od tych, których prześladowali. Historya polska jest odbiciem historyi chrześcijaństwa i jak ta zakończy się tryumfem. W dalszym ciągu swej gorącej mowy opisał mowca obywatelski charakter zmarłego mistrza, czego dowodem ofiarowanie do Muzeum narodowego „Świeczników chrześcijaństwa“.

Mistrz wiedział i czuł, gdzie potrzeba takiej ofiarności. Oto w tym prastarym Krakowie, gdzie leżą popioły królów polskich, gdzie każdy niemal kamień jest pamiątkowym, tutaj więc złożył swój królewski dar, a gdy go za to tłum chciał uczcić — podczas jubileuszu Kraszewskiego — pochodem z pochodniami, Siemiradzki w skromności swojej nie przyjął tego hołdu.

Dzisiejszy dzień obchodu ma być zatem oddaniem hołdu pamięci wielkiego męża, wielkiego artysty i wielkiego obywatela. A dzisiejsza modlitwa za duszę mistrza niech będzie modlitwą całego narodu, który modli się o swoją niepodległość. Słowami: wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci, zakończył ks. Anioł swe prześliczne przemówienie, które na obecnych głębokie wywarło wrażenie.

Po ostatnich słowach kaznodziei ruszyli zebrani z kościoła na Rynek, a gdy wyniesiono trumnę na karawan obity szkarłatnym aksamitem, wstąpił na przygotowaną mownicę prezydent miasta p. Friedlein i tak mówił:

„Kiedy przed stu blizko laty, po rozpaczliwej obronie, utraciła Ojczyzna nasza niepodległość i reszki rycerstwa w rozsypce zniewolone były iść na wygnanie lub wracać do zagród rodzinnych, zwątpienie ogarnęło wszystkich, bo zdawało się, że z wykreśleniem Rzeczypospolitej z rządu państw europejskich, zatrze się w pamięci świata imię narodu, jego czyny i sława. Ale Przedwieczny, w którego mocy spoczywają rządu wszechświata, nie opuścił narodu naszego i zsyłał mu mężów, którzy w braku zbrojnych hufców, piórem, pędzlem i dłutem rozpoczęli walkę o dobre imię i sławę narodu, i wywalczyli mu należne stanowisko w gronie ucywilizowanych ludów, przypominając światu dziełami swemi, że naród nasz żyć nie przestał. Jednym z tych mężów, którzy na polu sztuki sławy imieniowi polskiemu przysporzyli, był ś. p. Henryk Siemiradzki, którego śmiertelne szczątki przybyły dziś w mury naszego miasta.

Dziś otwiera się grób dla Henryka Siemiradzkiego, którego zwłoki przekazuje czcigodna rodzina miasta opiece. Oceniać i podnosić przymioty serca i umysłu zmarłego, ani tu pora, ani miejsce. Wystarczy powiedzieć, że był człowiekiem szlachetnym, artystą niepospolitym i pełnym miłości Ojczyzny obywatelem.

Zwłoki jego znajdą schronienie i spokój wśród mężów zasłużonych narodu, znajdą troskliwą opiekę pod okiem zacnych i pobożnych kapłanów, górującej nad grobowcem świątyni. Tam podąży za niemi tęskne westchnienie i wdzięczna pamięć rodaków, ilekroć oko ich spocznie na dziełach wielbionego mistrza“.

Po mowie prezydenta miasta, ustawiony przed kościołem chór „Lutni“ odśpiewał żałobną pieśń „O Panie mój, do Ciebie modły wznoszę“, po ukończeniu której zabrał głos dyrektor Muzeum narodowego, dr. Feliks Kopera, i sławił zmarłego za to, że ofiarą swą dał początek tej wielkiej polskiej instytucyi w Krakowie.

Potem wśród dźwięków dzwonów świątyń krakowskich i żałobnych tonów muzyki „Harmonii“, ruszył o godzinie 11 wspaniały pochód od kościoła Maryackiego ulicą Grodzką ku Skałce.

Sklepy w Rynku, w ulicy Grodzkiej i dalszych wszędzie były pozamykane, zapalone latarnie gazowe owinięte były czarną krepą — a z wielu kamienic powiewały czarne flagi.

Pochód posuwał się powoli, wśród szpalerów publiczności licznie zgromadzonej.

Na podwórzu kościelnem na Skałce panował porządek wzorowy. W głębi ustawiła się „Harmonia“ z płonącemi pochodniami, u wrót dziedzińca stanęli księża Paulini ze swoim przeorem, aby przyłączyć się do reszty duchowieństwa.

Trumnę ustawiono przed otwartemi podwojami oświeconej krypty. Duchowieństwo rozpoczęło ostatnie modły, poczem z ganku rozległ się śpiew chóru. Po „Salve Regina“ przemówił z ganku, przeor OO. Paulinów.

Potem jeszcze zabrał głos dr. Konstanty Górski, jako przedstawiciel krakowskiej Akademii sztuk pięknych, a wreszcie przedstawiciel młodzieży akademickiej, który zaczął:

„Pogrzeb to, czy tryumf Siemiradzkiego? Tyle wieńców, tyle wawrzynu, tyle kwiecia różnobarwnego. — Muzyka, śpiewy, mowy pochwalne zlewają się w pieśń sławy ku czci wielkiego męża.

Pogrzeb to, czy tryumf Siemieradzkiego?

A przecież już zgasła gwiazda geniuszu na jego czole; ani na piersi jego już nie błyszczą złote gwiazdy odznaczeń... Zwłoki z jego osoby. Więc hołd, składany mu dzisiaj jest prawdziwym świadectwem jego wielkości, wystawionem mu pomnikowo przez powagę narodu. Trumna z jego szczątkami jest sercem ożywiającem zbiorowy, jedno myślący stan wielbicieli jego, święcących tę uroczystość.

Jasnego ducha swojego przelewał Siemiradzki na płótna, które płoną pięknością po smutnym świecie, jak ożywiające światła. Tem samem roznosił po całym świecie sławę Ojczyzny, której jest podporą. Z nazwiskiem jego, łączyło się nieoddzielnie i Polski imię.

Malarz, wielki i sławny malarz — to jeszcze nie Siemiradzki, to tylko cząstka jego. Talent jego, to jak wyniosła iglica górska na szerokiej podstawie — na zasłudze. Mąż „zasłużony". Dlatego wchodzi do chwalebnego grobu „zasłużonych" z własnego prawa. Naród nie ugaszcza go niejako w tym zaszczytnym przybytku, ale odprowadza do jego domu.

Zagasną pogrzebowe świece i powiędną kwiaty, lecz jaśnieć i świecić się będą jego obrazy, takie świetlane.. Umilkną śpiewy i przemowy dzisiejsze, rozejdą się zgromadzone rzesze, nad któremi dziś duch jego panuje; ale kto przyjdzie nad jego grobowiec, choćby myślą tylko, to wiele usłyszeć może w duszy... Zasługa jego w Polsce nieśmiertelna: a więc z grobu jego, jak krynica ze skały, niejedna myśl dobra dla spragnionego wytryśnie"...

Cała uroczystość, której towarzyszyła wspaniała pogoda, skończyła się o godzinie pół do drugiej i miała niezwykle podniosły charakter.

O CHLEBIE.

Pogadanka p. Tadeusza Chrząszcza.

Zasada odżywiania się człowieka ma na celu, u starszych podtrzymywanie wagi i ciepła ciała, u młodszych także i przysporzenie tkanki ciała. Dostarczone organizmowi pokarmy, służą z jednej strony do budowy nowych komórek cielesnych, lub do odnowienia i odżywienia starych, z drugiej strony do wytworzenia odpowiedniego ciepła, powodującego czynności życia. Musi być zatem pewien stosunek między przyjmowanymi pokarmami, a ich wyzyskaniem przez organizm. Gdy ten stosunek jest za niski, odczuwamy wrażenie głodu. Wynikałoby zatem z tego, że wystarczy spożyć pewną ilość jakiegokolwiek pokarmu jednakiej wagi, aby zaspokoić głód. Doświadczenie osobiste jednakże poucza, iż te same ilości różnych pokarmów, nie zaspakajają w równej mierze uczucia głodu. Poszczególne pokarmy mają różny skład, a stąd też w różny sposób zostają przez organizm wyzyskane, czyli innemi słowy, są różnie pożywne.

Badania wykazały, iż organizm ludzki wymaga średnio 120 gr. tak zwanego białka, 40 gr. tłuszczu, 530 gr. węglowodanów czyli ciał budujących tkanki, i że pokarmy mięszane są najkorzystniejsze.

O tem wiedzieli już ludzie bardzo dawno. Stąd też od najdawniejszych czasów pokarmy ludzkie o ile możności są mięszane i składają się z rozmaitych potraw, a między temi jedno z pierwszych miejsc, obok mięsa, zajmuje chleb.

Ze wszystkich pokarmów jest zatem chleb jednym z najważniejszych. Jest on pokarmem codziennym wszystkich narodów.

Początki uprawy roli odnajdujemy w najbardziej zamierzchłych czasach. Hodowla zboża zatrzymuje poszczególne ludy w pewnych miejscowościach, zamieniając ich tryb życia pastersko-łowiecki, na rolniczo-ziemiański. Z życiem osiadłem następuje potrzeba wytworzenia się ustroju państwowego. Uprawa roli podnosi dobrobyt, cywilizacyę i oświatę.

Gospodarstwo rolne, znane było starożytnym Fenicyanom i Żydom. Biblia wspomina już o uprawie ziemi, o sianiu zboża, żniwowaniu, młóceniu, mieleniu i pieczeniu chleba. Prawdopodobnie, iż pierwszymi, którzy zaprowadzili uprawę zboża, byli Egipcyanie.

Od Egipcyan rozchodzi się znajomość uprawy roli na inne narody.

Słowianom znana była uprawa roli bardzo dawno i przez nas zaznajamiają się Germanie

czyli starożytni Niemcy, z żytem; sami zaś uczymy się od tych ostatnich uprawy pszenicy, jęczmienia i owsa.

Chleb bywa sporządzany z rozmaitych gatunków zboża, zależy to od miejscowych stosunków, także od smaku i gustu ludności. Zboże, które w danym kraju, bywa najczęściej używane do wyrobu pieczywa, nazywane jest ziarnem. Tak n. p. we Francyi, Anglii, Włoszech, południowych Niemczech, sporządzają chleb pszeniczny; w Niemczech północnych, Danii, Rosyi, przeważnie chleb żytni; u nas chleb pszeniczny i żytni; a na zboczach karpackich nawet i owsiany. Ameryka, także Podole, Ukraina, Wołyń spożywa znaczne ilości chleba z męki kukurydzanej. Murzyni wyrabiają chleb z prosa itd.

W każdym ziarnku zboża dają się odróżnić trzy części składowe: 1) łuska i powłoka zewnętrzna, zabarwiona ciemniej; 2) kiełek, to jest zawiązek przyszłej rośliny i 3) jądro ziarna czyli część mączysta.

Mielenie zboża miało jako cel początkowo li tylko rozdrobnienie ziarna, do tego służyły używane jeszcze dziś po wsiach żarna. Mąka żarnowa, ma tę stronę ujemną, iż nie trzyma się dobrze. Tłuszcz, jaki znajduje się w roztartym kiełku zbożowym, ulega z czasem rozkładowi, nadając nieprzyjemny smak tej mące.

Dlatego mamy młyny rozmaitej budowy, które zadanie swoje spełniają zupełnie inaczej, niż owe żarna. Młyny dzisiejsze muszą oddzielić kiełek i łupkę od części mączystej, dając otręby i mąkę. Im jedno od drugiego jest dokładniej oddzielone, tem bielszą otrzymujemy mąkę.

Zboże przychodzące do młyna, posiada rozmaite zanieczyszczenia i to dwojakiej natury, szkodliwej i nieszkodliwej.

W zbożu więc natykamy grudki ziemi, ziarna piasku, a jeżeli ilość tych części ziemistych jest duża, to z takiego zboża otrzymana mąka jest niezdatną do użytku.

Także napotykamy tam ziarna innego zboża, grochu, wyki, kąkolu, mietlicy, krowiej pszenicy, gałuchy itd. Z tych zanieczyszczeń zasługuje kąkol, a przedewszystkiem mietlica, na szczególniejszą uwagę z powodu ich trujących własności.

Obok powyższych zanieczyszczeń, znachodzimy na zbożu wielkie ilości pleśniaków, drożdżaków i bakteryj, które powodują różne choroby.

Któż nie znał dawniej tej strasznej choroby rojnicy, objawiającej się konwulsyami, desenteryą, wymiotami, zanikiem sił, mdłościami? Całe wsie ulegały tej strasznej chorobie, która grasowała w czasie klęski głodowej. W latach mokrych, gdzie urodzaje polne wiele cierpią, jakby nadmiar złego, zjawiają się we wielkiej ilości rozmaite drobnoustroje, a między tymi powodujący rojnicę pleśniak, zwany sporyszem. Sporysz występuje na rozmaitych zbożach, lecz najczęściej na życie, tworząc 2—5 cm. długi, a 2—5 mm. gruby fioletowo-czarny trój- lub czterokanciasty wyrostek, daje się łatwo dostrzedz, tworząc na kłosie jakby znacznie dłuższe i grubsze, z poza plew wyglądające, czarno-fioletowe ziarno.

Jest on dla zdrowia bardzo szkodliwy. Spożyty we większej ilości powoduje ową straszną chorobę, zwaną rojnicą.

Jednym z również często występujących na zbożu pleśniaków jest śnieć. Dawniej przypisywano i śnieci rozmaite szkodliwe wływy, jednakże badania najnowszych czasów, takich ujemnych wpływów stwierdzić nie mogą. Jeżeli jednak w zbożu znajduje się wiele śnieci, to mąka posiada wówczas zabarwienie ciemniejsze, nadto otrzymuje bardzo niemiłą woń, przypominającą trochę nadpsute śledzie.

Stęchlizna mąki nie jest niczem innem powodowaną, jak tylko działaniem drobnoustrojów, które z powodu nie dość suchego przechowywania, rozwinęły się w mące.

O szkodnikach chleba gotowego pomówimy dalej.

Wreszcie należy jeszcze wspomnieć o szkodnikach zwierzęcych. Sadowią się one w składach tak zbożowych jak i mącznych, powodując nieraz ogromne szkody. Wpływ ich szkodliwy zaznacza się w dwojaki sposób, raz przez to, iż zjadają zboże, względnie mąkę, powtóre przez zanieczyszczenia mogą uczynić ją niezdatną do użytku. Szkodników tych mamy wiele, a z nich najniebezpieczniejszymi z powodu wielkiej siły rozrodczej i żarłoczności jest chrząszcz i ćma zbożowa. Wietrzenie i suszenie są jedynymi środkami zabezpieczającymi.

Tu należy jeszcze jeden szkodnik, a to jest świerzb. Znachodzi się on czasami nawet w wszelkiej ilości w mące, zakażając ludzi, którzy wiele z taką mąką mają do czynienia i stąd też świerzb jest najbardziej rozpowszechniony pomiędzy piekarzami.

Zboże niedostatecznie odczyszczone, co nader często u chłopów ma miejsce, zmełte na mąkę, zawierać musi w sobie niebezpieczeństwo, o jakiem wyżej wspomnieliśmy, dlatego też ten tak często wychwalamy i przechwalamy chleb wiejski, może powodować również słabości. Ze względu na zanieczyszczenia zwierzęce, mąka powinna być przed użyciem zawsze odsianą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WALEK.

(OBRAZEK).

Wiosna ci już była na świecie, ale przednowek okrutnie ciężki. W karczmisku gwar, a śpiewanie jako to zawsze przy niedzieli, a jeszcze i przy odpuście bywa; tyle ta ino odpocznienia mają ludziska, a i robaka zalać niejeden przyszedł, bo to słoty były na wiosnę, zasiewy leniwo wschodziły, powodzie przyszły i zamuliły zagony, więc ta i pracy i posiewu złotego żal było człeku, że to na marne poszedł pod Bożym gniewem i dopustem.

Więc też ta niejeden zapomnienia w kieliszku a w szklance poszukał, niejeden westchnął odejmując kufel od gęby i jeno się dziewuchy do muzyki śmiały, at — zwyczajnie jak młode.

A kręcił ci się koło nich Walek Makuch, chłopak na schwał, a młody, bo mu dopiero 25 roków minęło. Ojcowie, co im był jedynakiem, pomarli mu niedawno, nim jeszcze od wojska wrócił, to też i pieniędzy miał dość i fantazyę okrutną i niejedna dziewucha chodziła do starej Jagi z zawiniątkiem pełnem darunków, żeby się to on Walek, jej, a nie innej dostał.

Taki to już był ten Walek. Każdemu do serca w mig przypadł, ale honorny był okrutnie i w swój rozum zaufany, a na miejscu to nijak wysiedzieć nie mógł. Co go się to ojce naprosili, żeby niby jako jedynak do wojska nie szedł; Walek swoje, nie! i nie! Uparty był bestya i poszedł sam z własnej woli, choć matka aż fartuch od obcierania łez mokry miała, taki w nim był upór i ciekawość do ludzi. A może go też Pan Jezus za sprzeciwianie się woli rodzicieli pokarał, bo mu ojce pomarli nim z wojska wrócił, a nim go tam od onego wojska na wiadomość o tem uwolnili, już się siła dobytku zmarnowała.

Ale Walek, jak poszedł w świat butny a ciekawy, tak ci wrócił jeszcze butniejszy, bo już jako cesarski „zugsführer“ ani siwej głowy, ani ludzkiego rozumu nie uszanował.

Radził mu ta z początku niejeden ze starych kumotrów, albo znajomków nieboszczyka ojca — ale — akurat! jemu też było rady ludzkiej słuchać, jeno się śmiał a cygaro włoskie kurzył, od którego słomkę zawsze za uchem nosił, dziewuchy gdzie mógł pokryjomu ściskał. do roboty był dość chętny, ale bardziej jeszcze do wypitki a pohulanki.

Ot, i tej niedzieli, że się to w siermiędze a butach chodzić wstydził, surdut miastowy na grzbiet naciągnął, kamaszki sobie wdział i krawatkę jakby pan jaki — i wedle dziewuch się obraca jako ten kogut, co na podwórku chodzi, skrzydłami o boki bije, a ino się pogląda, czy kokosze a kury za nim zaglądują.

— Ty, Walek — rzecze mu Marcin Skotnik, co był zastępcą wójta w gminie, a w kościele nad księdzem baldachim przy procesyach naszał — ty, Walek — a cóżeś to taki rad, jakby ci ziemniaków woda nie zamuliła, a zboże nie porosło na polu. Czy ci to ojcowizna nie miła, alboś skarby jakie na bagnisku znalazł?

Walek się żachnął:

— A cóż to ja wam będę z ojcowizny rachunek zdawał? Czym znalazł co, albo i nie znalazł, to wam do tego nic, tu karczma, a nie urząd gminny!

— Ano, nie urząd gminny! — odparł spluwając Marcin, aleś i ty też nie w sądzie, żebyś się o tego zawłokę, co do ciebie zachodzi codzień prawie — prawował.

— A wam co do tego? — spytał Walek biorąc się pod boki, bo go już złość targać zaczynała. — Nie pójdzie wam — prawił — zawłoka do waszej chałupy, bo wie, żeście prosty chłop, nijakiego rozumu nie mający, a on. człek uczony, świata dużo zwiedził.

— Wierzę! wierzę! potwierdził znowu Marcin nową fajkę nakładając. — Dużo musiał widzieć, kiej zaraz do głupca trafił.

— Cóż to psia kręć jedna, ja głupi? — huknął Walek.

— Ano! — prawił zwolna Stasiak — albo głupi, albo zły, nie wiedzieć jeno, co gorsze. — Cóż ty myślisz, że on wpierw u nas nie był? Niemiec psia wiara, ziemi naszej chce, ale niedoczekanie jego, inoś ty jeden dał się otumanić, choć się za mędrka masz i djabeł cię na spółkę z Niemcem kusi. Idźże chłopie do spowiedzi, do świętej, abyś złe od siebie odegnał.

— A niewola mi to siedzieć między wami? — wrzasnął podpity już Walek. Sprzedam Niemcowi ziemię, czy nie! co wam jeden z drugim do tego? A cóż to Niemiec nie stworzenie boskie? a mnie nie wolno z mojem dobrem robić co zechcę? Choroba mi po takiej ziemi, co na niej jeno osty rosną a głogi? Deszcz zaleje, słońce wypali, grad zbije — niechże to siarczyste pioruny tłuką. Już mnie Niemiec powiadał, że w Ameryce choć się napracuję, ale i korzyść mieć będę, co wam do tego? Moja ojcowizna,

czy nie ojcowizna, sprzedam, i jadę gdzieindziej, a was tu Niemiec rozumu i gospodarstwa nauczy, boście psie dusze chamy i nijakiego rozgarnienia nie mające i tyla!

Na to podniósł się z ławy stary, siwiutki już Wincenty Borowy, najstarszy chłop na całą okolicę i rzekł pokaszlując:

— Mądrześ ty rzekł Walek, jako i Niemiec boskie stworzenie, bo ta Pan Jezus w dobroci swojej żadnemu stworzeniu jakiegosik co niebądź rozumu nie odmówił. Aleć to i to rzekę, co chłop, bracie jest jako nieprzymierzając ten grzyb, kady wyrośnie to musi i żyć, a przesadzić się nie da. Bo żebyś to wedle mojej kalkulacyi nie miał z czego żyć, no, to nie mówię, poszedbyś se u zamorków chleba szukać, aleć ziemi masz dość, ino pracować, a Pana Boga chwalić, to i dla drugich wystarczy.

Głos mu nagle wezbrał w szczerniałej, chudej piersi i rzekł mocno, jakoby grom przez karczmisko przeleciał:

— Ziemia matką, a któż ci matkę sprzedaje? Ziemia dar Boży, a któż Bożym darem handluje? Wolno ci z ojcowizną zrobić co chcesz, ale nie wolno matki i Bożego daru obcym zawłokom sprzedawać, bo na takich bierze Pan Jezus powróz i zmiłowania nad nim nijakiego niema! Ot co!

Walek jakoś stracił mimo trunku szumiącego w głowie rezon, ale łyknął jeszcze półkwaterek i mruknął:

— A taki, gadajcie co chcecie, sprzedam a do Ameryki pojadę.

— To sprzedaj swojemu, a nie Niemcowi! — krzyknął Marcin.

— Co ta! — burknął zataczając się już Walek — Niemiec więcej daje, to jemu dam, a wy mi nauk nie dajcie, bo swój rozum mam i djabli wam po mnie!

— Toć i my ci tyle może dać zdolemy, co Niemiec — zauważył Borowy, ale Boga w sercu miej i matki nie sprzedaj zawłoce!

— A cóż to! — warknął Walek — obsiedliście mnie, jak psy ślepego dziada! Niech was choroba! sprzedam Niemcowi na złość, bo mi się tak chce! i tyla, a wy mi pokój dajcie, bo jeszcze, jak mnie złość zbierze, łeb komubądź rozwalić mogę! ze mną niema śpasów.

— To niechże cię sądzi ten Pan Jezus, co na krzyżu konał! — odparł poważnie i powoli Borowy.

Walek słyszał, ale udał głuchego i do Nastki Wróblanki posunął, co najładniejsza była w całej wsi. Stanął z nią przed muzyką i przytupując zaśpiewał:

Śliczneś jest dziewucho, śliczniejsza od cudu,
Oj nie żalby było z tobą iść do ślubu.

I zaraz huknęły basy, zapiszczał klarnet i skrzypki, a on przygarnął dziewczynę do siebie i tańczył dookoła. Muzyka grała, nogi o ubite klepidło w izbie tupały, ale Walek słyszał, jak dziewczyna szepnęła:

— Ostań Walek z nami... ostań Walek!

Chłopakowi aż się ciepło zrobiło na sercu, ale przecież stanąwszy przed muzyką, zaśpiewał jak na przekorę:

Pokochali my się, jak dwa gołąbeczki,
Rozłączyliśmy się, jak dwie jaskółeczki.

Skrzypce znowu chwyciły nutę, bas huknął i klarnet zapiszczał, taniec poszedł nowem kołem, ale Nastka już nie szeptała nic, jeno wnet z koła uciekła i do domu cichaczem pobiegła. A na niebo wyszła już nocka piastunka i z granatowego fartuszka rozsypała perły gwiazd niby żeńców na niebieski łan, a nad niemi księżyc, karbowy — stanął i roboty świetlanej doglądał.

* * *

Walek późno bardzo wyszedł z karczmy i przyśpiewując sobie a zataczając się, szedł przez mały gaik na bliższe drogi ku domowi. Coś mu w duszy mimo trunku nie wesoło było, jakiś niepokój i żal w nim był, bolało go coś, a sam nie wiedział co i dlaczego. Księżyc mu w oczy zaglądał i śmiał się na niebie tak długo, aż chłopak stanął i popatrzył na niego.

— Ty, miesiączku bestyjo — gadał — nie śmiej się! uciekła Nastka do chałupy, to co ci do tego, naswarzyli na mnie stary Borowy, to ci też do tego zasię! A niechta!

Siadł pod pagórkiem na zwalonym pniu, co go łońskiego roku piorun otrzaskał i dumał. Zapatrzył się na białą, błyszczącą wysoko twarz miesięczną i począł się żalić:

— Widzisz, poniewierają mną ludzie i za co? cóżto, człekowi niewola na miejscu siedzieć? Ja nie grzyb, co mam na ludzkie gawędy uważać? Bo żebym to jeszcze bez złość jaką albo bez jakie zalubienie Niemca ojcowiznę oddawał— to nie! Boga mi! nie! a widzisz! naswarzyli, sądem Bożym grozili, a i dziewucha ode tańca, jak od zarażonego uciekła. Widzisz! można to między takimi usiedzieć? Sam powiedz!

Ale księżyc nie odpowiadał, jeno lał a lał z góry zielonawe światło niby srebro roztopione i śmiał się. Cisza była dokoła ogromna, a przez nią leciały ode wsi dalekie naszczekiwania psów i szepty jakieś szły po rosie.

Walek jakby pierwszy raz taką srebrną nockę zobaczył, patrzał a patrzał i znowu go coś za gardło złapało. Zdaleka bielały niby śnieg ściany hal, a od nocnego światła czarne cienie za siebie rzucały — opar się nad łąkami niby leciutki welon rozciągnął, a pachło w powietrzu, miły Boże! niby w kościele na sumie. Niedaleko Walka śpiewał słowik w leszczynie a wyciągał, aż się człeku tęskno na duszy robiło.

Chłopak westchnął. Pięknie tak było dokoła i tak jeszcze nieraz będzie! Będą leciały dnie, miesiące i lata w tych zapachach, szeptach, śpiewaniu, w tych blaskach i spokojnej ciszy, jego jeno już tu nie będzie, jeno on tej kochanej przecie wioski, w której każdego człeka, każde drzewo i każdy kamień znał, widzieć już nie będzie. Zrobiło mu się jeszcze smutniej i wstał. Chciał uciec od tej ciszy, od tej wymówki nocki świętej, ale odszedłszy kawałek, znowu stanął. Coś go ciągnęło do patrzenia. Brzozy nad nim w białych koszulach stały i długie włosy gałązek srebrzyły w miesięcznej jasnocie. Stąd już widać było i jego własną chatę. Dziadowie jego i ojce w niej żyli, on w niej się wychował i na podwórzu za kurczętami raczkował, a teraz, postawi na niej Niemiec czerwoną dachówką krytą kolonię i będzie się panoszył na tej ziemi, co potem jego rodu przesiąkła.

Zacisnął zęby i pięści z jakąś ogromną złością i żalem, i nagle przeląkł się. Brzozy nad nim zaszumiały, a on w tym szumie usłyszał wyraźnie szept:

— Ostań Walek z nami, ostań!

Obejrzał się i strach go zdjął, był sam jeden, a przecie coś szeptało. Zaczął nadsłuchiwać i włosy mu na łbie dębem stanęły. Teraz, w tej ciszy pełno było głosów, to płaczliwych, to groźnych, to smutnych. Gdzieś od zagonów szedł jęk i płacz zbożnej ziemi:

— Myśmy dar Boży, nie sprzedawaj nas.

A dalej huczała basem dąbrowa: Ziemia matka, a któż matkę sprzedaje? A bliżej, na miedzy wyrosłe kaliny i głogi szumiały: — Niech cię Chrystus sądzi!

I szumiały krzaki, płakały pola i groził las, a na Walka szły pomieszane słowa: Sąd — nie sprzedawaj — ostań — ziemia matka.

— O Jezu! — krzyknął chłopak i za głowę się ułapił.

Porwał go strach i żal i smutek okrutny, więc biedz począł, by od tych głosów uciec, ale one za nim szły coraz większe, coraz groźniejsze, bliższe.

Biegł bez pamięci, bez tchu, bez drogi, a głosy za nim płaczące i groźne: Ziemia matka, nie sprzedawaj! ostań!

Nagle zrobiła się cisza. Walek przerażony, zziajany, bez oddechu stanął i rozejrzał się dokoła. Stał na własnej ziemi, na własnych, ojcowym potem zroszonych zagonach i poczuł się strasznie winnym i bardzo złym, że tę ojcowiznę obcemu chciał za trochę grosza oddać, więc płacz go chwycił ogromny, dziecięcy płacz skruchy, co przebaczenie u Boga wyjednuje.

Padł twarzą na ziemię, na rodną i mieszając własne łzy z perłami rosy, powtarzał z łkaniem serdecznem:

— Nie sprzedam cię matko, nie sprzedam — ostanę!

Nocka piastunka do czarnego fartuszka poczęła zbierać perły-gwiazdy, a na niebo świt różany szedł z pokojem dla ludzi dobrej woli.

Stach J.

W obronie przemysłu krajowego.

Na cały kraj mamy tylko jednę jedyną fabrykę, która wyrabia z buraków syrop cukrowy i ten syrop przerabia na cukier w głowach i kostkach. Fabryką tą jest cukrownia w Przeworsku. Daje ona zarobek setkom robotników w fabryce samej, a obok tego przyczynia się do zajęcia tysięcy robotników przy uprawie buraków cukrowych. Z losem fabryki związane są zarobki wielu tysięcy rodzin. Jedne pobierają od niej pieniądze za dostarczone buraki, drugie wskutek istnienia fabryki mają dobry zarobek przy obrabianiu, kopaniu i zwożeniu buraków.

Fabryka przeworska jest solą w oku właścicielom dawniej założonych fabryk cukru w Czechach, na Morawie, w Austryi dolnej i na Węgrzech. Rozporządzając milionami, zarobionymi na cukrze, nie dopuszczają oni do powstawania nowych fabryk cukru, gdyż chcą być wszechwładnymi panami w sprawach wytwarzania cukru, aby mogli dowolne ceny na cukier nakładać i wciąż nowe miliony do dawnych dorabiać. Według ich zdania fabryki cukru powinny być tylko w Czechach, na Morawie, w Austryi dolnej, Galicya zaś, mimo że tworzy największy kraj państwa, ma pozostać bez cukrowni i spożywać cukier ich wyrobu. Krzywdzą oni przez to nasz kraj w straszny sposób, bo walcząc przeciw po-

wstaniu fabryk cukru u nas, powstrzymują rozwój przemysłu, ściśle z rolnictwem związanego, a dającego dobry zarobek dziesiątkom tysięcy ludzi.

W kraju zaś tylko wtedy zakwitnąć może dobrobyt, jeżeli potrzeby nasze wedle możności zaspokajamy płodami własnej ziemi i wyrobami rąk krajowych. Wtedy pieniądz jest w ciągłym obrocie w kraju, od rolnika przechodzi do krajowego kupca, od kupca do krajowego fabrykanta, a krajowy fabrykant wypłaca go znów krajowemu robotnikowi, który nabywa zboże i mięso za pośrednictwem piekarzy i rzeźników od rolnika. Kraj ubożeje, gdy grosz za groszem przesuwa się do obcych kieszeni.

Obecnie cukrownicy czescy i niemieccy postanowili uśmiercić i zniszczyć jedyną naszą cukrownię krajową w Przeworsku. Wyrabia ona zaledwie trzecią część tego cukru, ile go kraj cały potrzebuje, tak że dwie trzecie muszą być zakupione z innych krajów Austryi, mimo to nie mogą znieść istnienia Przeworska. Postanowili poświęcić miliony, by doprowadzić fabrykę przeworską do upadku. Myślą, że dokonają tego szybko, a potem stracone miliony odzyskają, nakładając na cukier do Galicyi takie ceny, jakie im się będzie podobało.

Omylili się jednak!

Całe społeczeństwo nasze na wieść o walce, wypowiedzianej jedynej naszej fabryce cukru, zawrzało oburzeniem, że kilku obcych milionerów śmie narzucać swą wolę krajowi, śmie dyktować nam, iż nie swoim, lecz obcym mamy dostarczać zarobku.

Powiedzmy im: wara od spraw naszych! Wyrzućcie miliony, jeżeli chcecie, my Przeworskowi upaść nie damy! My bowiem tylko u tych kupców kupować będziemy, którzy mają nasz cukier krajowy, z buraków uprawianych na naszych polach, obrabianych ręką naszego robotnika. W każdym kawałku cukru, który nabędziemy z naszej cukrowni, oprócz naturalnej słodyczy, będzie słodycz przeświadczenia, że groszem swoim wsparliśmy swoich.

Zarządy Kółek rolniczych, kierownicy sklepów, dzierżawcy sklepów i wszyscy pamiętajcie:

Od kupców i dostawców żądać należy tylko cukru przeworskiego!

W inny cukier nie zaopatrujcie sklepów, bo czyniąc to ciężko grzeszycie wobec kraju!

Gdyby wam kupiec odradzał nabycie cukru przeworskiego. donieście jego nazwisko do nas, a my postaramy się o to, by postępowanie jego napiętnować po dziennikach.

Gdyby w mieście czy miasteczku jakiemś nie można było nigdzie dostać cukru przeworskiego, donieście o tem natychmiast do fabryki w Przeworsku.

Patrzcie dobrze na opakowanie i nie dajcie się wywieść w pole.

Szczęść Boże w tej godziwej walce z wrogami naszego przemysłu!

Suszenie owoców.

Jakaż to dobra rzecz susz owocowy, zgotowany w zimie lub w czasie, kiedy brak owoców! Jakąż to ważną rolę odgrywają w domach włościańskich suszone jabłka, gruszki lub śliwki w czasie postu. Ludzie chorzy na wsi, gdzie daleko do lekarza, sami leczą się zachowując ścisłą dyetę, żyją gotowanym suszem i mlekiem. I czynią dobrze, bo z doświadczenia wiedzą, jak ogromnie dodatnio wpływają na zdrowie suszone, a później zgotowane owoce.

Suszenie owoców jest jednym ze sposobów zachowania owoców na czas, kiedy świeżych owoców nie mamy. Suszenie owoców polega na tem, iż nadmiar wody z owoców usuwamy przez wyparowanie, dając owoc surowy do suszarni, gdzie wyższa ciepłota przemienia wodę, w owocach zawartą, w parę.

U nas dawniej albo suszono owoce w piecach piekarskich po wyjęciu chleba, albo też budowano suszarnie dymne, w których wraz z ciepłem, dostawał się do owoców dym palącego się drzewa. Susz taki pomimo płukania gorącą wodą zawsze ma smak gorzkawy dymu, przez co traci ogromnie na wartości.

W ostatnich czasach zaczęto coraz więcej używać suszarni bezdymnych. Przy każdej suszarni chodzi o to, aby jak najmniej opału wychodziło, a także o to, aby można z łatwością przesuwać pojedyncze sita lub szufladki. Rozróżniamy suszarnie większe do suszenia większej ilości owoców na raz, i mniejsze, tak zwane kuchenne, które stawia się na kuchnię po zgotowaniu obiadu lub wieczerzy. Mała suszarka (kuchenna) powinna u każdego gospodarza się znajdować, gdyż nadaje się ona do suszenia warzyw, grzybów, owoców itp. Większa suszarnia z osobnem paleniskiem drogo kosztuje i tam się opłaca, gdzie jest tani opał, dużo owoców a susz może być bardzo dobrze sprzedany.

Suszenie owoców opłaca się u nas tylko dla domu, a mianowicie dla własnej potrzeby.

Jeżeli mamy w jakim roku nadmiar owocu, to lepiej opłaci się robić wino lub gotować powidła, a szczególnie ze śliwek.

Śliwki. Do suszenia bierzemy piękne węgierki, jak największe. Owoc powinien się przy ogonku marszczyć, to jest powinien już przejrzewać. Niedojrzałe owoce dają susz tak zły, że nawet dla domowego użytku się nie nadaje. Im więcej śliwki przejrzałe, tem mniej potrzebują czasu do suszenia się. Śliwki suszy się naprzód w mniejszem cieple, dopiero gdy dobrze zwiędną, daje się do coraz silniejszego ciepła. Ususzone śliwki wystawiamy na powietrze, aby wystygły, a dopiero potem przechowujemy. Gdy używamy do suszenia suszarki kuchennej, dajemy śliwki z góry, poczem szufladki (sitka) podsuwamy co raz niżej a bliżej paleniska.

Czereśnie i wiśnie zrywamy dojrzałe i również tak, jak śliwki suszymy z początku w mniejszem cieple, a gdy zwiędną, dajemy do większego ciepła.

Jabłka przed suszeniem obieramy z łupy i krajemy w poprzek w plasterki lub też suszymy całe obrane, wycinając poprzednio środek. Najlepsze do suszenia są jabłka wielkie spłaszczone, ale nie mogą być przejrzyste (mączyste).

Jabłka można dawać przy suszeniu odrazu w większe gorąco, gdyż to im nie szkodzi, chodzi tylko o to, aby utrzymać jedną i tę samą ciepłotę, a w takim razie suszenie odbędzie się prędzej.

Gruszki. Najlepszy susz dają masłówki (bery) tylko muszą być niezupełnie dojrzałe, a więc nieco twarde. Gruszki suszymy obierane całe lub połówki. Przy gruszkach należy zachować ogonek a szczególnie, jeżeli je mamy później w syrop cukrowy zanurzać, a to w celu otrzymania gruszek kandyzowanych. Susząc całe gruszki, gdy dobrze zwiędną, można je dwoma deszczułkami spłaszczyć podobnie jak figi. Spłaszczone gruszki zanurzamy krótki czas przed wyjęciem, w rozczyn cukru lub syrop, posypujemy miałkim cukrem, dajemy jeszcze raz do suszarni i zaraz wyjmujemy.

Sortowanie i pakowanie owoców.

Wprawdzie w tym roku drzewa owocowe u nas mało obrodziły, ale tu i owdzie są owoce i chodzi o to, aby owoce, jakie są, sprzedać jak najlepiej.

Kto ma owoce do sprzedania, niech je przebierze. Owoc dorodny i nieuszkodzony osobno. Tak wybrane owoce piękniej wyglądają, to też chętniej znajdują nabywców.

Dobre opakowanie bardzo ważną odgrywa rolę, i ten, kto owoce umie dobrze opakować, może być pewnym, że znajdzie dobrych i stałych odbiorców. Jabłka i gruszki w stanie niedojrzałym są wprawdzie zupełnie twarde, ale nie tak dalece, aby je można przesyłać jak ziemniaki bez opakowania w workach lub koszykach. Każde miejsce, gdzie owoc zgnieciono w stanie niedojrzałym, będzie widocznem, skoro owoc dojrzeje, i w tem miejscu zacznie owoc się psuć. Chcąc tego uniknąć, należy ściśle się trzymać następujących wskazówek:

1) Piękne owoce stołowe należy owijać w miękką bibułę, najlepiej przy pomocy wełny drzewnej i tak opakować, aby owoce nie dotykały się. Naczynie musi być tak pełne, aby po zamknięciu owoce podczas przewozu się nie obijały.

2) Dobry owoc gospodarczy, który może być spożyty w stanie surowym, owija się w papier i układa się warstwami w skrzynie albo kosze. Przestrzeń wolną między owocami napycha się sieczką, a pomiędzy pojedyńcze warstwy dajemy papier, co ochrania owoce od obicia.

3) Owoce do gotowania należy pakować nie owijając w papier, warstwami, ale między pojedyńcze warstwy dawać dostateczną ilość wełny drzewnej, słomy lub papieru. Na górze i na dnie należy dać tyle słomy, aby owoce w drodze nie otłukły się.

4) Owocu do wyrobu wina przeznaczonego nie opakowuję się, gdyż ten zaraz po otrzymaniu idzie pod prasę.

Koszta opakowania należy dokładnie obliczyć, ale jak najtaniej, kupiec chętnie je zapłaci, byleby owoce bez zkazy nadeszły. Na opakowaniu nie powinno się zarabiać.

Przy większych zamówieniach, należy wysłać pocztą próbki i podać ceny. Każdy właściciel sadu powinien wiedzieć, jak się nazywają odmiany jego owoców. Na wystawach owoców lub przy innej sposobności należy się wywiedzieć, czy odmiany, jakie posiadamy, są stołowe lub gospodarcze. W takim razie dopiero będziemy mogli ocenić, jaką rzeczywistą wartość mają nasze owoce i ile za nie żądać możemy.

Jak tuczą gęsi na Pomorzu.

Pomorze, dawny kraj polski, dziś pod berłem Prus, słynie z chowu gęsi, które tam stanowią ważną gałąź dochodu dla posiadaczy małej własności ziemskiej. Ci przychówek sprzedają handlarzom, od których nabywają go przedsiębiorcy, trudniący się tuczeniem gęsi i wyrobem słynnych pomorskich półgąsków. Tuczenie odbywa się w sposób zgodny z zasadami hygieny. Gęsi przeznaczone do tuczenia umieszczają się w obszernych zagrodach, mających po 100 łokci długości i szerokości, w których mogą swobodnie używać ruchu, co dla ich zdrowia jest koniecznie potrzebne. Doświadczenie nauczyło pomorskich gospodarzy, że zamykanie gęsi w ciasnych zagrodach niekorzystnie wpływa na dobroć mięsa i tłuszczu, a puch i pierze, wskutek niemożności zachowania niezbędnej czystości, wiele na wartości swojej tracą. Dobre, ciężkie ziarno owsa najlepiej tuczy gęsi, ale smalec w takim razie bywa mniej jędrny; lekki zaś, niższego gatunku owies nie tuczy wcale. Taniej wypada tuczenie w pierwszym tygodniu siekaną marchwią i gotowanymi tartymi ziemniakami; jako treściwy dododatek do paszy służy groch nasypany do koryt i rozrzucany po zagrodzie. Później, dają gęsiom gotowany i ostudzony jęczmień, oraz szrót jęczmienny, zmieszany z gotowanymi tartymi ziemniakami. Potem główny pokarm stanowi groch, który się sypie do koryta z wodą, tak, że go gęsi jedzą w stanie napęczniałym. Takie tuczenie wypada tanio i daje wyborne mięso i smalec.

Widzimy, iż na Pomorzu nie tuczą na sposób, jaki zastosowuje także niejedno z naszych gospodarstw. Mamy na myśli tuczenie kluskami, t. j. wtłaczanie klusek w gardziel przemocą. — Przy tym sposobie tuczenia chodzi głównie o uzyskanie wielkiej wątroby i osadzenia na niej tłuszczu. — Mięso od gęsi sztucznie tuczonych „na wątrobę“ jest chude, niesmaczne i niezdrowe, jako pochodzące od chorych ptaków, u których chorobę tę rozmyślnie wywołano dla dogodzenia dziwacznemu gustowi smakoszów, upatrujących w tak zwanym „strasburskim pasztecie“, jakiś szczególny przysmak. — A zatem, niech gosposie tuczą gęsi na sposób pomorski, a z pewnością lepiej na tem wyjdą.

Świeczniki chrześcijaństwa.

„Świeczniki chrześcijaństwa“ inaczej zwane „Pochodnie Nerona“ jest to wspaniały, olbrzymi obraz mistrza Henryka Siemiradzkiego, który go jako zawiązek Muzeum narodowego Ojczyźnie swojej ofiarował. Obraz ten (tutaj podajemy wam jego podobiznę maleńką i niestety niekolorowaną nawet) — przedstawia chwilę strasznego męczenia i znęcania się pogańskich Rzymian nad wytrwale wiary swej strzegącymi chrześcijanami. Znacie zapewne wszyscy — mili Czytelnicy — z zasad naszej religii, jak to wkrótce po wniebowstąpieniu Chrystusa, wyznawcy Jego Boskiej nauki szybko rozszerzali się po wszystkich krajach starożytnego świata. Bóg chciał jednak, aby krzewienie się nauki Jego Boskiego Syna wśród cierpień i mąk wiernych się odbywało, dopuścił więc do tego, że Żydzi oraz inne pogańskie narody — jak Grecy i Rzymianie, a zwłaszcza ci ostatni, srodze chrześcijan prześladowali. Nie dozwalali oni wyznawać im nowej wiary, wtrącali ich do więzień, bili i katowali, a bardzo często i życia ich pozbawiali. A chrześcijańscy męczennicy z największą pokorą i słodyczą wszelakie te cierpienia znosili, bo ufali, że Chrystus, który ich pięknej i tak dobrej nauczył religii — po śmierci te prześladowania w niebie wieczną szczęśliwością im wynagrodzi. Tak trwało przez 300 lat. Cesarze rzymscy wymyślali przeróżne okrucieństwa i zastosowywali je przeciw chrześcijanom, a już najsrożej znęcał się nad bezbronnymi i nieopornymi wyznawcami świętej wiary — cesarz Neron. Ten potwór ludzkości kazał spalić miasto Rzym, a winę tej zbrodni zwaliwszy na niewinnych chrześcijan, rozpoczął straszne i ohydne prześladowanie ich. Więc mordował, zabijał, krzyżował, rzucał na pożarcie dzikim zwierzętom ku uciesze swojej i tłumów swych krwiożerczych poddanych pogan — a wreszcie wymyślił taki sposób pastwienia się nad biedakami, jaki tu na obrazie Siemiradzkiego widzicie. Więc kazał chrześcijan przywiązywać do wysokich pali, okręcać ich w słomę, oblewać smołą i wieczór w ogrodach swych cesarskich cały taki szereg słupów z żywymi chrześcijanami podpalać, aby jak żywe pochodnie płonęli... On zaś i jego orszak wraz z tłumem pogańskich Rzymian przechadzali się po ogrodach tych i patrząc bez litości na męczarnie palących się chrześcijan, uciechę swą wyrażali głośno.

Ot, do czego rozpasanie obyczajów doprowadzić może. Dopiero po trzech wiekach takich prześladowań cesarz rzymski Konstantyn Wielki

sam przyjął chrzest święty i religię chrześcijańską państwową czyli obowiązującą dla wszystkich ogłosił. Odtąd tryumf wiary Chrystusowej coraz bardziej się wzmaga i niema już dziś zakątka ziemi, gdzieby jej wyznawców nie było.

M. T. Bł.

ROZMAITOŚCI.

Pożary. Po klęskach powodzi przyszły na kraj nasz pożary. I tak we wrześniu nawiedził straszny pożar miasto Złoczów, przy wielkim wichrze północno-wschodnim, który utrudniał opanowanie ognia.

O godzinie 2 w nocy przybyła osobnym pociągiem straż ogniowa ze Lwowa z wielką sikawką. Przeszło dwieście domów obrócił ogień w perzynę. Setki ludzi bez dachu i chleba. Pożar wybuchł tuż przy rynku w dzielnicy lwowskiej, zamieszkałej przeważnie przez żydów. Przyczyna pożaru niezbadana. Spłonęły dwa szpitale, cerkiew św. Mikołaja i plebania. Brak wody bardzo wielki utrudniał akcyę ratunkową, którą kierował burmistrz miasta dr. Wesołowski i starosta. Towary, powynoszone ze sklepów, paliły się na ulicach. Ogółem spłonęło przeszło 1500 budynków. Szkoda milionowa.

Naoczny świadek tak opisuje pożar Złoczowa:

Już od Krasnego widać zdala krwawą łunę na niebie. Na dworcu w Złoczowie strach ogólny, lament tych, co przyjeżdżają i nie wiedzą, czy zastaną domy swoje i mieszkania, jak i tych, którzy rzucają miasto, szukając gdzieindziej przytułku.

Od dworca do miasta przeszło dwa kilometry drogi. Spotyka się na niej wozy, wyładowane rzeczami, umykające z miasta pożarem nawiedzonego. W przydrożnych rowach ludzie szukają przytułku, spoczywając na stosach wyniesionych z domów rupieci. Im bliżej miasta, tem wyraźniej przedstawia się obraz straszliwy. Domy, nie dotknięte ogniem, opróżnione, ludność obozuje na ulicach. Co krok spotyka się stosy rzeczy i grupy ludności, lamentującej głośno. Posterunki pogotowia wojskowego rozstawione na ulicach.

Zbliżamy się do Rynku. Tu groza nieszczęścia uderza w oczy najsilniej. Dwie strony Rynku w płomieniach. A dalej, część zamieszkała przeważnie przez ludność uboższą, żydów i przedmieszczan — przedstawia jedno morze ognia. Trzask zapadających się belek, syk iskier — miesza się z głośnym płaczem ludności. O ratunku nikt prawie nie myśli — brak środków umożliwiających ratunek w kilkuset punktach odrazu. Jedynie w Rynku oddział straży pożarnej, przybyły ze Lwowa, stara się opanować pożar. Gdyby ogień przerzucił się dalej — i druga strona Rynku musiałaby pójść z dymem. Plac Rynku zarzucony sprzętami gospodarskimi i ocalonymi w ostatniej chwili towarami, wśród stosów rzeczy owinięte w kołdry i chusty dzieci i kobiety, siedzą i głośno zawodzą, mężczyźni krążąc dookoła ognisk — załamują ręce.

Obraz straszny.

To dopiero Rynek. A dalej, trakt lwowski, gęsto zasiany domami, oraz trakt gliniański — przedstawiają się jeszcze straszniej. Przejść środkiem ulicy wydaje się niepodobieństwem. Gorąco i dym duszący gryzie w oczy, oddech w piersiach zapiera. — To wszystko już skazane na zagładę. Nie ma rąk do ratowania — brak sikawek i wody, ażeby ogarnąć taką masę ognia. Ludność uciekła z tego morza płomieni nad rzekę, gdzie założono obozowisko. Nikt nie śpi, tylko płacz głośny słychać i narzekania.

Ogień wybuchł popołudniu o godzinie kwadrans na 6 przy ulicy Lwowskiej, w domu, gdzie znajduje się skład z naftą i pracownia kołder. W jednej chwili dom stanął w płomieniach, na dobitek nieszczęścia zaś począł się palić dom po stronie przeciwnej. Przybyła straż pożarna, zanim się wzięła do ratunku, znalazła się w położeniu prawie bez wyjścia. Wiatr bowiem dął szalony i przerzucał iskry i głownie z domu na dom, tak, że nie upłynęły dwie minuty, a już kilkanaście domów zostało objętych pożarem. I ogień przerzucał się coraz dalej z błyskawiczną szybkością — wiatr unosił iskry coraz to dalej. Wszyscy potracili głowy. Ogień szedł w dwu kierunkach: ku przedmieściu i ku miastu; z jednej strony dosięgnął cerkwi Bazylianów — z drugiej oparł się o szpital katolicki.

Gdy w Rynku zdołano położyć tamę pożodze, na przedmieściu szedł ogień z nieubłaganą siłą naprzód, niepohamowany. Jak szalonym był pęd wiatru i jak szybko ogień przerzucał się coraz to dalej, świadczy fakt, że trakt gliniański wypalony prawie na długości czterech kilometrów, aż do wsi Hilczyc. Cudem iście i sposobem, dla nikogo niewytłómaczonym, na trakcie tym ocalała chałupa jakaś, strzechą kryta, oraz domek parterowy.

W szpitalu ratunek ograniczono w pierwszym rzędzie do wynoszenia chorych i przenoszenia ich do nieobjętej pożarem szkoły ludowej, oraz częściowo do koszar. Jedna chora, jakaś suchotnica, przerażona, gdy ją nagle owionął podmuch powietrza, przesiąkłego spalenizną, umarła na ręku wynoszących. W Rynku znowu stary żyd, przelękły widokiem pożaru, padł na miejscu trupem, rażony udarem sercowym. Jakaś kobieta, żydówka, chciała koniecznie ratować zagrożone ogniem rzeczy, kilka razy szczęśliwie wydobywała się z płomieni — wreszcie poszła w ogień i nie powróciła.

W synagodze żydowskiej leży na ziemi płachtą przykryty szkielet jakiejś żydówki, zupełnie zwęglony. Znaleziono go wśród stosów pogorzeli. Koło szpitala katolickiego na ulicy leży nagi zupełnie trup młodej kobiety. Twarz poraniona, spalona, nie pozwala domyślić się rysów. Ręce i nogi pokurczone — widok okropny.

Rynkiem przebiega żyd jakiś i łamiąc ręce, woła: gdzie moje dzieci?

Oto obraz strasznej klęski. Ludzie jęczą, płaczą i szukają się wzajemnie. Szkodę obliczają na kilka milionów. Dość powiedzieć, że niektóre sklepy zgorzały doszczętnie.

Prawie równocześnie miasteczko we wschodniej Galicyi **Monasterzyska** stanęły w płomieniach. Ogień, podsycany wichrem, szerzył się z nadzwyczajną szybkością. W akcyi ratunkowej brały udział, oprócz straży pożarnej miejscowej, także straże z Buczacza i Podhajec.

Monasterzyska oraz przyległe folwarki zupełnie zgorzały. Cztery tysiące ludzi bez chleba i dachu. Szkoda w Monasterzyskach wynosi przeszło milion koron.

Nie ochłonęliśmy jeszcze po wieściach strasznych ze Złoczowa i Monasterzysk, a oto szereg nowych wiadomości o pożarach w kraju.

Dnia 19 września wybuchł w **Rudańcach** pożar, który zniszczył 13 gospodarstw włościańskich. Szkoda wynosi około 22.600 koron.

W sobotę 20 września o godzinie 2 popołudniu wybuchł w **Krasiczynie** groźny pożar, który dzięki tylko ratunkowi straży pożarnych krasiczyńskiej i przemyskiej nie przybrał groźnych rozmiarów. Spłonęły 3 domy mieszkalne, 4 zabudowania gospodarskie i brogi z plonami. Szkoda bardzo znaczna. Pożar powstał skutkiem nieostrożnego obchodzenia się z ogniem.

Dzieci, bawiąc się zapałkami, wznieciły pożar we wsi **Drohowyże** nad Dniestrem. Ofiarą pożaru padło około 40 zagród włościańskich. Szkoda bardzo znaczna.

Z **Cieszanowa** donoszą, że dnia 17 września we wsi Nowinach Horynieckich spłonęła doszczętnie stodoła z zapasami zboża włościanina Marcina Karycha. W płomieniach zginęła dwuletnia jego córka. Przyczyną pożaru było bawienie się dzieci zapałkami.

W **Olszanicy** 19 września spłonęło 12 zabudowań gospodarskich wraz z tegorocznymi zbiorami. Szkoda wynosi około 14.000 koron.

Na folwarku w **Młyniskach** koło Trembowli zniszczył pożar pięć budynków gospodarskich. Szkoda wynosi przeszło 50.000 koron. Ogień powstał z iskry z parowej młocarni, ustawionej tuż obok budynków.

Po klęsce powodzi i gradobicia. Na podstawie sprawozdań wydziałów powiatowych zestawił Wydział krajowy wykaz szkód, jakie kraj poniósł wskutek ostatniej powodzi i gradobicia.

Klęska powodzi dotknęła powiaty: bialski, bocheński, brzeski, chrzanowski, dąbrowski, krakowski, limanowski, myślenicki, nowotarski, nowosądecki, podgórski, rudecki, tarnowski, wadowicki, żywiecki. W 15 powiatach zachodniej Galicyi zatopiła Wisła 124 810 morgów najurodzajniejszych gruntów uprawnych, zerwała lub zasypała żwirem 3.548 morgów gruntów nadrzecznych, zburzyła lub uszkodziła 7735 domów mieszkalnych, budynków gospodarczych i zakładów wodnych.

Dotkniętych klęską powodzi jest ogółem 824 gmin i 308 obszarów dworskich, 18.806 rodzin, a 148.818 osób.

Szkody zrządzone powodzią w 15 powiatach zachodnich, tudzież w powiecie rudeckim w dorzeczu Dniestru, obliczono na 16,048.069 koron. Miasto Kraków wykazało szkody w sumie 3,850.000 koron. Doliczywszy do tego szkody na drogach krajowych, kolejach, w wałach Wisły i Dunajca w kwocie 199.237 koron, otrzyma się wynik, że szkody powodziowe wynoszą 20,097.506 koron.

Szkody gradowe w 13 powiatach, przeważnie wschodnich, dochodzą sumy 8,558.076 koron, zaś szkody w plonach w całym kraju z powodu ulewnych deszczów wynoszą 119,790.000 koron.

Ogółem tedy wynosi suma szkód elementarnych przeszło 148 milionów koron.

Zestawienie to nie objęło jednak znacznych szkód, zrządzonych wylewem Wisły i dopływów w gospodarstwie stawowem w powiatach: bialskim i wadowickim, gdzie powódź przerwała groble stawowe i uniosła znaczną ilość ryb. Straty dadzą się obliczyć dopiero w jesieni przy spuszczaniu stawów.

Wydział krajowy uchwalił odnieść się bezzwłocznie do rządu o zniżenie taryf kolejowych dla przewozu zboża, ziemniaków i paszy, jak to już dla Ślązka przyrzeczono, oraz o jak najrychlejsze wyjednanie zasiłków państwowych w drodze cesarkiego rozporządzenia. by zasiewów ozimych w porę można dokonać. Sejmowi przedłoży Wydział krajowy sprawozdanie o szczegółach i rozmiarach klęski elementarnej, z wnioskiem:

a) o przyznanie 400.000 koron na zapomogi i bezprocentowe pożyczki dla gospodarzy wiejskich, dotkniętych temi klęskami;

b) wyznaczenie 150.000 koron na podwyższenie obustronnych wałów nadwiślańskich od Krakowa do Niepołomic;

c) zaciągnięcie pożyczki w sumie 450.000 koron na 4 proc., zwrotnej w dziesięciu latach.

Zabójstwo panny młodej. Dnia 24 czerwca b. r. w Filipowicach, w domu Świeszków odbywało się wesele Józefa Gąsiorowskiego z Jadwigą Świesz-

kówną. Na czele weselnego orszaku, który udawał się do kościoła, szła muzyka, za nią ustrojona panna młoda, prowadzona przez drużbów. W tyle szedł pan młody, prowadzony przez druchny, a dalej reszta weselnego orszaku.

Po drodze do kościoła znajduje się wąwóz. Dnem wąwozu iść niepodobna, więc orszak skierował się na dwie boczne drogi, wyrobione na stokach. Na jednę z tych gór weszła panna młoda z obu drużbami. Droga była wązką, trzy osoby razem iść nie mogły, więc drużba Stanisław Kłosowski, 26-letni hutniczy, puścił pannę młodą naprzód, a sam szedł zaraz za nią. Rozochocony, chciał wystrzelić na wiwat, sięgnął więc po nabity już poprzednio ostrymi nabojami rewolwer, podniósł rękę do góry i pociągnął za cyngel. W tej chwili pośliznął się na obmokłym gruncie i upadł na ziemię. Strzał padł, ale zamiast pójść w górę w powietrze, ugodził pannę młodą w plecy. Dziewczyna w tej chwili padła na ziemię i zmarła w przeciągu 5 minut. Wesele zamieniło się w żałobę; rozpacz rodziców dziewczyny, narzeczonego i drużby, będącego sprawcą tak wielkiego nieszczęścia, nie miała granic.

Nieszczęśliwy drużba stanął przed sądem karnym, obwiniony o występek przeciwko bezpieczeństwu życia i zdrowia. Akt oskarżenia zarzuca mu, że mógł przewidzieć, iż strzelanie ostrymi nabojami w tych warunkach, jest niebezpieczne dla życia lub zdrowia. Obwiniony opowiedział wśród objawów żalu całe nieszczęśliwe zajście. Trybunał skazał go na 6 tygodni ścisłego aresztu z 1 postem co tydzień. Zasądzony przyjął wyrok.

Przygody zesłańca. Niedawno sąd okręgowy kielecki rozpatrywał sprawę włościanina z pow. olkuskiego, ze wsi Troki, Jana Czarnuli, mającego 65 lat wieku, ojca pięciorga dzieci, który skazany w roku 1894 za podpalenie do ciężkich robót i osiedlenie na Syberyi, po odcierpieniu kary, wiedziony tęsknotą za krajem, trzykrotnie uciekał w ojczyste strony.

Losy tego zesłańca budzą współczucie, ponieważ wiele on wycierpiał i widocznie dla łagodnego swego charakteru nawet w więzieniu znajdował przychylniejsze serca i złagodzenie doli.

Jan Czarnula, zesłany do gub. irkuckiej w roku 1894, trzy lata był w ciężkich robotach. Jak sam opowiada, roboty te nie były dlań zbyt uciążliwe, ponieważ przeważnie pozostawał w więzieniu i robił łapcie z łyka. Po odcierpieniu kary, uwolniony z więzienia na dożywotne osiedlenie, błąkał się czas długi bez zajęcia, w końcu przyczepił się do kuchni żołnierskiej i posługiwał, lecz gdy w r. 1900 wojska ruszyły do Chin, Czarnula podążył z niemi i towarzyszył im aż do portów.

Tu musiał pozostać, ponieważ ze względu na jego wiek, odmówiono mu miejsca na okręcie, żołnierze jednak, przyzwyczajeni do starego posługacza, wsiadając na statek, złożyli mu drobne kwoty zapomogi, aby nie umarł z głodu. Pozostawiony w porcie, bez zajęcia i chleba, uprosił kapitana austryackiej korwety, aby go wziął na pokład w charakterze palacza, na co ten ostatni się zgodził.

W pół roku później znalazł się na Adryatyku a następnie na stałym lądzie, skąd udał się na Węgry. Tu pewien czas służył u gospodarza Madziara, skąd gnany tęsknotą za krajem rodzinnym, za żoną i dziećmi, przybył do Krakowa, a stąd blisko już było do Olkusza i jangrockiej gminy. Nareszcie po sześciu latach tułaczki znalazł się wśród swoich, lecz po kilku tygodniach aresztowany przez strażników ziemskich odstawiony został do więzienia kieleckiego.

Stawiony przed sądem dnia 8 lutego r. 1901 za ucieczkę z Syberyi, skazany został na 3 lata ciężkich robót i 45 plag; od ostatnich jednak na skutek podanej prośby został zwolniony. Wysłany z Kielc do Irkucka tamże przez wydział lekarski uznany został za niezdolnego do odcierpienia wyznaczonej mu kary robót przymusowych, lecz zesłany na osiedlenie do bałagajskiego powiatu, jenisiejskiej włości, stąd w krótkim czasie zbiegł i znów znalazł się w olkuskiem. Rozumie się, że niedługo zażywać mógł wczasów. Bytność jego w rodzinnej wiosce Trokach wkrótce wyszła na jaw i Czarnula znów powędrował do więzienia. Stawiony po raz trzeci przed sądem, przyznał się do winy, tłómacząc się, że w Irkucku puszczono go na swobodę, każąc iść „na cztery wiatry“, gdy on poszedł „za jednym wiatrem“, w stronę, gdzie go serce ciągnęło.

Sąd skazał Jana Czarnulę na powrócenie do gub. irkuckiej i dwa miesiące więzienia. Podsądny po ogłoszeniu wyroku, założył apelacyę, prosząc o pozwolenie mu odsiedzenia kary na miejscu i pozostawienie go w kraju.

Chleb ze ziemniaków dla koni. Ugotowane w parniku ziemniaki wsypuje się do dwóch lub kilku beczek i ugniata się je; do tych ugniecionych ziemniaków dodaje się otrąb pszennych lub żytnich, przynajmniej pół na pół (im więcej tem lepiej) i dobrze miesza się otręby z ziemniakami. Z otrzymanego ciasta robi się bochenki, ważące 2 kg., i wsadza w piec na 16—18 godzin. Dziennie można dawać roboczemu koniowi 4 takie bochenki, a mianowicie rano $^3/_4$ bochenka, tyleż w południe, a wieczorem resztę $2^1/_2$ bochenka; oprócz tego dodaje się na każdego konia 5 kg. siana. Chleb ze ziemniaków jest dobrą paszą i dla starych i dla młodych koni, gdyż nie psuje zębów. Także i świnie, krowy a nawet i drób chleb z ziemniaków chętnie jedzą. Wiadomość tę podaje niemieckie czasopismo o chowie koni.

Ostrożność przy spasaniu nowego siana. Świeżo zwiezione z łąki siano nie powinno być zaraz spasane,

nie jest ono bowiem jeszcze jako pasza dostatecznie przygotowane. W stodole czy stogu złożone, podlega pewnego rodzaju gniciu, skutkiem czego skład jego ulega znacznym zmianom, poczem dopiero staje się właściwą, dobrą paszą. Dlatego też świeżego siana, które się jeszcze nie „wypociło“, nie powinnoby się stanowczo zadawać ani bydłu ani koniom — wywołuje ono bowiem nabrzmienia żołądkowe i bardzo niebezpieczne kolki. Jeżeli jednak brak starego siana zmusza do użytkowania ze świeżego zbioru, to należałoby przynajmniej mieszać świeże siano ze starem, a jeżeli tego ostatniego już zupełnie nie ma, to robić trząskę ze słomy i spasać ostrożnie małemi dawkami w postaci sieczki. Słoma powinna być także stara, sieczka bowiem z młodej słomy jeszcze gorsze skutki wywołuje, szczególniej jeżeli się nieco na kupie zagrzeje. *(Ziemianin).*

Kopyta u bydła należy pielęgnować jak najstaranniej przez częste czyszczenie. Pamiętamy o kopytach koni, ale o bydlętach zapominamy, których kopyta o wiele więcej narażone są na psucie się i wykoszlawienie, jak koni. Bydlę nawet robocze, częściej i dłużej przebywa w oborze. niż koń w stajni, to też kopyta jego się nie zużywają, tylko rosną, nieraz tak nieforemnie, że utrudniają chód bydlęciu. Należy je często obrzynać, a pomiędzy kopytami w szparach często płukać rozczynem kwasu karbolowego. Bydlęta stojące w oborach nizkich, mokrych, narażone są na mięknienie rogu w racicach, a ponieważ w szparach tych ciągle jest gnój, przeto róg mięknie, a nawet psuć się zaczyna. W lecie wśród wielkiej długotrwałej suszy, róg pęka i dlatego często go należy polewać wodą. Kto jest starannym w pielęgnowaniu racic bydła, ten zabezpiecza się od tak częstej choroby pyska i racic.

Następującą odezwę, nadesłaną Redakcyi, zamieszczamy w dzisiejszym numerze *Przodownicy*, prosząc Szan. Czytelniczki o przesyłanie datków pieniężnych na nieszczęśliwych pogorzelców w Złoczowie:

Powszechnie znaną jest straszliwa klęska, którą Opatrzność dotknęła nasze nieszczęśliwe miasto. Rozmiary jej nie dadzą się opisać tem bardziej, że dotknęła ona najuboższą ludność, która obecnie w liczbie 5000 głodna i nieodziana pod gołem niebem spędza zimne noce. To też Komitet ratunkowy zwraca się z gorącą prośbą do wszystkich o łaskawe zajęcie się zbieraniem składek dla złoczowskich pogorzelców. — Za Komitet ratunkowy: *Bolesław Studziński*, c. k. starosta, prezes; *Wincenty Gnoińaski*, marszałek powiatowy; *Stanisław Wesołowski*, burmistrz; *ks. Jan Stachów*, dziekan; *dr. Józef Gold*, zastępca burmistrza; *ks. Aleksander Czemeryński*, dziekan; *dr. Ludwik Heyne*, adwokat kraj. i członek magistratu; *Marcin Chorzemski*, c. k. radca dworu; *dr. Aleksander Wysocki*, lekarz i członek magistratu; *Franciszek Irauth*, członek magistratu; *Karol Podgórski*, członek magistratu; *Edward Lewek*, c. k. profesor gimnaz. i sekretarz.

Redakcya *Przodownicy* złożyła 10 koron.

Od Administracyi.

Przypominamy i prosimy o zapłacenie zaległej prenumeraty a zarazem o łaskawe zwrócenie pożyczonych książek, gdyż pragniemy pożyczyć je innym Czytelniczkom *Przodownicy.*

Szan. Czytelniczki i Czytelnicy naszego pisemka zechcą już w listopadzie zamawiać na rok przyszły *Przodownicę.*

Zachęcajcie drogie Czytelniczki i Czytelnicy do prenumerowania i czytania „Przodownicy“.

Dla dotkniętych powodzią przesłała na ręce Redakcyi *Przodownicy* p. Franciszka Węgleska 2 kor.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

DZIURDZIOWIE.

PRZEZ

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

(Ciąg dalszy).

Zdziwiona i nieśmiała usiadła przy nim na brzegu ławy. On mówić zaczął:

— Posłuchaj, Piotrusia. Czy to my już zawsze tak z sobą będziemy żyć, jak te nieme stworzenia... Tego tylko braknie, żebyśmy zaczęli takie zgorszenie i taki śmiech ludziom robić, jak, nie przymierzając, Stepan Dziurdzia i jego żonka... Tak nie można, Pietrusia. Tak nie trzeba. Ty matka dzieciom i ja ciebie szanować muszę.

— To i cóż ja zrobię, kiedy ty, Michałku lubić mnie przestał...

— Co ty pleciesz? co ty wygadujesz? Ej, jaka durna! czysta waryatka!

W mgnieniu oka u szyi jego zawisła.

— To ja tobie widać nie bardzo niemiła...

— Ty mnie tak samo miła, jak wprzódy...

— Czy ja ciebie zbrudzoną wziął albo jakkolwiek upośledzoną? Czysta ty była i bez plamy nijakiej, jak ta szklanka w krynicznej wodzie wymyta, hoża ty była i wesoleńka, jak ten ptak, pod niebem latający...

— Ale...

— Siedem latek ja z tobą żył i aż póki na nas nieszczęśliwe czasy nie przyszły, jednego smutnego dnia nie przeżył, złości na twojej twarzy nie widział, złego słowa od ciebie nie słyszał...

— Ale...

— Dziatek ty mnie czworo urodziła i z pilnością hodowała, gospodarstwa strzegła i rąk nie zakładała, dostatku wszelkiego przymnażając...

— Ale...

— Nu, to widzisz! dlaczegoż-bym ja ciebie lubić przestał.

W raz z ostatnim wyrazem rozległ się po izbie głośny pocałunek. W same usta ją pocałował, wpół objął i zapytał:

— Nu, teraz mów, czegoś dziś tak płakała, że aż oczy zapuchły? Czy znowu ci kto co przykrego zrobił? ha?

Upewniona, że lubi on ją tak, jak i dawnicj, z oczyma błyszczącemi od szczęścia, opowiedziała mu swoją straszną, dzisiejszą krzywdę. Michał z ławy się zerwał i pięścią w stół grzmotnął.

— Zabiję! — krzyknął — na śmierć łajdaków tych zabiję! Czego oni do ciebie przyczepili się, łotry te, chamy...

— Durne chamy! żeby w takie głupstwa wierzyć! ja nie wierzę, dalibóg nie wierzę, żeby na świecie jakie wiedźmy były... Czasem i mnie przechodziło przez głowę, że to może być prawda... zwyczajnie... pomiędzy głupimi i najmędrszy człowiek czasem zgłupieje... Ale taki wiem dobrze i rozumiem, że to wszystko bajki. Ciemny naród i koniec! To swoją drogą, a bieda swoją drogą! I wstyd, wstyd mnie jak pijakowi, albo oberwańcowi jakiemu, bić się z chłopami po karczmach i drogach, a nic to nie pomoże... Durniom głupoty ich z głów nie wybijesz, żebyś nie wiem jak bił... Co tu robić?

— Jutro przed wszystkimi wyspowiadam się i komunię przenajświętszą przyjmę — szepnęła Pietrusia.

Michał ręką machnął.

— Co to pomoże? jeden zobaczy, a drugi na odpuście w ścisku i nie zobaczy. Kto był ze złą wolą dla ciebie i z zawiścią, ten tak i pozostanie. Zmarnujesz się w dokuczaniu ludzkiem, a jeszcze kiedykolwiek znów cię tak skrzywdzą, jak ot dziś... Niech Pan Bóg broni...

Ręką sobie mocno twarz całą przetarł, a potem nad głową włosy rozrzucać zaczął.

— Chyba zabrać się, chatę i gospodarstwo rzucić i w świat iść... — zamruczał.

— Chatę i gospodarstwo rzucić! — krzyknęła Pietrusia.

— To cóż! cóż to ważnego? — odpowiedział.

Jednak oczyma dokoła izby wodził. Miłą mu była chata jego, ciepła, dostatnia, wystrojona we wszystko, co do niej przez tyle czasu, jak ptak do gniazda przynosił! Miłym też był ten poojcowski ziemi kawał, na którym po długiej żołnierskiej tułaczce, z radością w duszy osiadł! Po długiej chwili milczenia, szyję żony objął i zaczął:

— Żeby mnie tutaj źle było żyć, poszłaby ty za mną gdzieindziej?

— A jakże! — krzyknęła Pietrusia.

— No, to kiedy tobie tutaj źle, ja z tobą pójdę gdzieindziej. Ziemię w arendę oddam, tak jak wtedy, kiedy do wojska szedłem; a z rzemiosłem mojem cały świat choćby obejdę, a chleba ani nam, ani dziatkom na-

szym nie zabraknie. W miasteczku gdzie osiądę i kuć będę, a ciebie krzywdzić nie dam i jeszcze, broń Boże, bić...

Kobieta pochyliła się i ręce jego całować zaczęła.

— Jaki ty dobry, oj, oj, jaki ty dobry... lepszego już chyba na całym świecie niema... Ja w twojej twarzy zobaczyłam i w twojej mowie posłyszałam i w całym tobie rozpoznałam, że ty taki dobry... Dlaczegoż ja ciebie tak i polubiła, na zawsze, aż do śmierci, że mnie już nigdy żaden człowiek inny miłym nie był i że bez twego lubienia mnie, tak jak bez tego słońca grzejącego i bez tej wody pojącej...

Wyprostował pochyloną jej kibić i objął ją ramionami.

— Idź jutro do miasteczka, mszy świętej wysłuchaj, spowiadaj się, a po nabożeństwie do mojej siostry Hanuli, co tam za mężem, za felczerem jest, zajdź i rozpytaj się u niej, czy dobrzeby mnie było w miasteczku osiąść... Znaczy, z rzemiosłem mojem osiąść... czy tam kowala potrzebują, a jeżeli tam nie potrzebują, to ja sobie może zgodzę się w tym dworze, do którego jutro o robotę umawiać się pójdę. Wielki dwór i wielki majątek.. zawsze kowal tam był, a teraz niema, może mnie zechcą. Chciałbym ja z tobą na odpust pojechać, ale do tego dworu trzeba... To idź ty już sobie w swoję drogę, a ja pójdę w swoję, a potem nie bawiąc, babulę i dzieci na wóz zabierzem i h a j d a, w drogę. Ot tobie i droga zamierzona. Pójdziesz ty w świat, lepszego szczęścia u ludzi szukać, tylko nie sama jedna, ale ze mną, z babulą i ze wszystkiemi dziećmi, i z moją pracą także, z której wszędzie dobry kawałek chleba wyniknie...

— Dziękuję, Michałku, oj, dziękuję tobie za wszystką twoję dobroć... Żebym tak mogła, to zdaje się, cała-bym przemieniła się w dziękowanie...

VII.

W miasteczku, o sześć wiorst od Suchej Doliny odległem, przez cały ranek świąteczny, biły rozgłośne dzwony kościelne. Na rynku ludzi było jak mrowia i wszelkich zwierząt mnóstwo. Sprzedawano tam i kupowano: konie, krowy, woły, cielęta, zboże, płótna, jaja i mnóstwo innych rzeczy. Sanie stały tam przy saniach, krzyk rozmów, kłótni, przekleństw, targów, rżenia koni, ryczenia bydła był ogromny, i wielka pstrocizna ubiorów i twarzy męskich i kobiecych, chłopskich, żydowskich i mało - szlacheckich. Czterej Dziurdziowie przybyli też na targ, każdy ze swojem. Piotr i Klemens przywiedli na sprzedaż konia i krowę, Stepan długoletniego wolika, a Szymon przywiózł parę ośmin żyta i grochu. Mnóstwo ludzi, po zmówieniu kilku pacierzy, odprawiało baby do kościoła i zostawało przy swoich saniach i towarach. Piotr dobro swoje powierzył pieczy syna, a sam skierował się ku białemu kościołowi. W nieobszernej kruchcie ścisk był taki, że powolny chłop, zaledwie zdołał przebić się do kościelnego progu i parę kroków jeszcze dalej postąpić. Tu mignęło mu złoto niesionej pod baldachimem monstracyi, zaponsowiały pelerynki kościelnej służby, błysnęły płomyki świec, górą frunęły chorągwie. Organy grały i kilkaset głosów chórem śpiewało. Piotr chciał uklęknąć, ale z powodu ścisku uczynić tego nie mogąc, głowę pochylił i pięścią ściśniętą potężnie bił się w piersi.

— Ojcze niebieski, królu ziemski, odpuść nam ciężkie grzechy nasze.

Rozpoczęła się suma. Piotr, ze schylonym nieco grzbietem, wzniół oczy w górę i wpatrzył się w rzeźby wielkiego ołtarza. Oczy chłopa napełniły się miękkiem zamyleniem, usta jego poruszać się przestały. Przypomniało mu się może wszystko, co kiedykolwiek, na ten sam ołtarz patrząc, przecierpiał i uprosił, skruchy i trwogi swego sumienia, choroby synów, zgryzoty wszelkie, pociechy i uspokojenia.

W tem organy grać przestały i w uciszonym kościele zabrzmiało donośne: W imię Ojca i Syna... Rozpoczynało się kazanie. Piotr z miejsca swego widział dokładnie na wysokiej mównicy stojącego księdza, śnieżną jego komżę i czerwoną u piersi wstęgę; i chciwie słuchał słów, rozchodzących się po kościele.

W tem ktoś go mocno w łokieć trącił. Obejrzał się i zobaczył schylonego przed sobą Klemensa. Parobek szeptał mu w same ucho:

— Tatku! starszyna konia chce kupić... nie wiem sam, co zrobić...

Odtrącił syna ramieniem i znowu pochylał się nad ziemią, ale Klemens za kożuch go pociągnął.

— C h a d z i, tatku, a to targ stracim...

— S k a ż y starszynie, żeby sam do kościoła szedł i ludziom Panu Bogu modlić się nie przeszkadzał...

Powiedział to takim tonem, że Klemens nie nalegał dłużej, przyklęknął, przeżegnał się, dwa razy ziemię pocałował i z kościoła wyszedł. Ale i Piotr z klęczek powstał i kilka

razy jeszcze uderzywszy się w piersi, kościół opuścił.

Na godzinę przed zapadnięciem zmroku rynek targowy opróżniać się zaczął; natomiast coraz więcej sań i koni zgromadziło się u wrót obszernej murowanej karczmy. Dla ludzi, którzy przez dzień cały modlili się i ziębli w kościele, ziębli także, sprzedając i kupując na rynku, koniecznością prawie było, przed puszczeniem się w drogę do domów, wejść na chwilę w ciepłe jakie ściany, ogrzać się i głód zaspokoić. Przed karczmą tedy stało mnóstwo sań i koni.

Izba karczemna znacznie tu była większą, niż w Suchej Dolinie.

W głębi izby starszyna, najwyższy urzędnik gminy, chłop niemłody, dość liczną kompanią miodem częstował. W poczęstunku tym, oprócz ludzi innych, udział brało kilku mieszkańców Suchej Doliny, a pomiędzy nimi najważniejszą rolę odgrywał Piotr Dziurdzia, albowiem okazyi do poczęstunku dostarczał koń przez niego starszynie sprzedany. Rozmowa też toczyła się o różnych zaletach tego konia, i wzmagała się czasem w sprzeczki, które jednak starszyna przerywał zawsze, miodu do szklanek z blaszanego garnca dolewając i z uprzejmą powagą do biesiadników przemawiając:

— Pijcie, panowie gromada, pijcie! — na zdrowie wam! na szczęście!

Klemens tylko nie pił i w rozmowie udziału dotąd nie brał. Młodym był, nieżonatym jeszcze, gospodarstwa swego nie miał, z ojcem tu przybył i przez niego tylko coś znaczył. Żywe, a teraz miodem rozweselone oczy starszyny spotkały się z jego wstydliwem spojrzeniem.

— Aaaa! — zadziwił się ze śmiechem starszyna i palcem na parobka wskazał — aaa! panowie gromada! czy heto parobek jest, czy dziewczyna!

Głowę na obie strony, niby dla lepszego widzenia, przechylał.

— Patrzę, patrzę i rozpoznać nie mogę! zdaje się, że parobek, ale za plecy baćka schował się, jak dziewczyna i wstydzi się bardzo...

Piotr zaśmiał się i syna ku stołowi popchnął.

— Nu, idzi, kiedy pan starszyna woła...

— Pij — zawołał starszy — kaby prędzej wąsy pod nosem wyrosły. — I, wszystkim znowu do szklanek dolewając, powtarzał:

— Pijcie, panowie gromada, pijcie!

Pili i śmieli się z Klemensa, gdy ten, na wspomnienie o wąsach, palcami powiódł po złotym puszku, który mu górną wargę osypywał, a potem głową skinął i raźnie zawołał:

— Na zdrowie panie starszyno!

— Na zdrowie tobie! — odpowiedział starszyna, a do Piotra rzekł: — W sołdaty nie poszedł? ha?

Piotr z jaśniejącą twarzą odpowiedział:

— A nie poszedł; kiedy na niego pora na losowanie przyszła, Jasiuk jeszcze małoletni był, a mnie już, chwała Bogu Najwyższemu, pięćdziesiąty siódmy roczek życia mego szedł. Brat mały... ojciec stary... znaczy jemu lgotę dali i został się w chacie; niech za to Pan Bóg będzie pochwalony...

— Ot i wykręcił się — zauważył ktoś z boku.

— Nu, szczęśliwy! — dorzucił ktoś inny.

— A szczęśliwy — powtórzył Piotr — kab tylko Pan Bóg we wszystkiem tak błogosławił...

Starszyna znowu szklankę szczęśliwemu parobkowi podawał.

— Pij! — wołał — pij i pamiętaj, kto to taki ten, co ciebie trachtuje!

Chłopak zawahał się, na ojca spojrzał, ale Piotr szturchnął go w łokieć i zachęcił.

— Pij, kiedy pan starszyna każe...

W tem z gromady gwarzącej i pijącej u okna zawołał go mały, ruchliwy, z zadartym nosem człowieczek, wpół z chłopska, a wpół już ze szlachecka ubrany, leśnik z pobliskiego dworu, który dziś u ojca jego krowę kupił.

— Klemens! — wołał — hej, Klemens! wypijno i z nami. Żeby krowie zdrowo było!

Wychylił podaną mu czarkę i, w szał wesołości wpadając, ku stojącej w kącie beczce podskoczył, przechylił ją i znajdującą się w niej wodę na podłogę wylał.

— Kaby krowa tyle mleka dawała — krzyknął!

Grzmot śmiechu zatrząsł izbą, kobiety piszczały, spodnice podnosiły i do przeciwległych kątów uciekały. Szeroki strumień wody od ściany do ściany płynął.

Ogólna pijatyka dosięgła w tej chwili stopnia najwyższego. Większość piła na zabój, z powodu traktamentów i okazyi, a okazyą był tu koń sprzedany, krowa kupiona, spotkanie znajomych, pogodzenie się skłóconych, wspomnienie o ojcu, który rok temu umarł, projekt ożenienia syna, lub wydania za mąż córki.

W izbie panował niesłychany chaos gło-

sów. W jednym miejscu izby toczyła się bójka, zakończona wypchnięciem za drzwi zwyciężonych; w innem przyciskano do ściany żyda-arendarza, który krzyczał ze strachu, to znów łajał chłopów, przeraźliwie mu wymyślających; gdzieindziej dwaj parobcy, ująwszy się pod boki, do dwóch rozsierdzonych kogutów podobni, przyskakiwali do siebie. Kilku mieszkańców Suchej Doliny z czarkami w rękach, lazło całować staszynę, który, także mocno podpiły, rozparł się na ławie.

Szymon, przeciwnie, podszedł teraz do niego z miną zawadyacką:

— Ty mnie gospodarstwa opisywać nie śmiej! — krzyczał — bo jak opiszesz, zabiję... dalibóg zabiję... choć ty starszyna, a taki zabiję... i budzie tobie szabasz!

Piotr Dziurdzia stał naprzeciw Maksyma Budraka.

— U ciebie córka — prawił a u mnie syn... niech będzie pochwalony Pan Bóg najwyższejszy. — A Budrak jednocześnie mówił:

— U ciebie syn, a u mnie córka... Czemu niema być woli boskiej... będzie... tylko swatów przysyłaj...

— Przysyłaj! — twierdząco powtórzył Piotr i, podnosząc w górę wskazujący palec, z namaszczeniem zaczął znowu:

— U ciebie córka, u mnie syn... niechaj, jak toj kazau, boska siła przezwycięży czartowską siłę.

W tem Klemens ojca za rękaw kozucha pociągnął:

— Jedziom do chaty, tatku — cienkim, proszącym tonem zapiszczał.

Był także pijanym, ale jeszcze dość przytomnym. Zachciało mu się wracać do domu, Piotr spojrzał na syna zdziwionemi jakby oczyma i z gniewem krzyknął:

— A ty chory był! tylko co nie umarł! Czartowskaja siła chorobę tę tobie robiła...

Klemens splunął.

— Kab ona świata nie widziała, ta co mnie tej biedy narobiła! Jedziom do chaty, tatku.

I za rękaw od kożucha ciągnął ku drzwiom ojca, który na Maksyma oglądał się i krzyczał:

— Pamiętaj, Maksym! u ciebie córka, u mnie syn... Niechaj przed królestwem niebieskiem przepadnie czartowskie królestwo...

Przy samym progu ojciec i syn natknęli się na Szymona.

— A ty czego ty jeszcze łajdaczysz! — krzyknął na krewnego Piotr; — do chaty tobie... a to ostatnią kopiejkę przepijesz...

— Już i przepił... — wnet prawić zaczął Szymon — już to, co za żyto i groch wziął, do ostatniej kopiejki przepił... już i szabasz mnie i dziatkom moim...

Wychodząc, Piotr i Klemens wypchnęli sobą Szymona naprzód do sieni, a potem na placyk, zapełniony jeszcze chłopskiemi saniami i końmi. Tu zobaczyli Stepana, który zabierał się do odjazdu.

— Hej, dziadźku — krzyknął Klemens — poczekaj, razem pojedziem...

Stepan miał pijaństwo ponure i złośliwe; za całą odpowiedź zaklął przez zęby.

Więc troje sani Dziurdziów, z których pierwsze zajmowali Piotr z Klemensem, jednocześnie od karczmy odjechało i, znalazło się wkrótce pośród śniegiem usłanych pól.

Zimno! Mróz nie duży, dziesięć stopni może, nie więcej, ale wiatr silny dmie i z ziemi podnosi tumany śniegu. Z góry też śnieg pada, drobniutki jak pył, twardy i gęsty. Księżyc świeci, ale nie widać go za białemi chmurami, i choć noc ciemną nie jest, mało co widzieć można przez tę mgłę, śnieżną, która pada z góry i podnosi się z nad ziemi.

Sześć wiorst tylko dzieliło miasteczko od Suchej Doliny i cała prawie prowadząca doń droga wysadzona była drzewami. Żaden z Dziurdziów nie spał. Piotr czasem wzdychał, lub coś szeptał; Klemens kilka razy gwizdać zaczynał; Stepan konia swego głosem ponurym do pośpiechu zachęcał; Szymon na saniach swych leżąc prawie, stał się dziwnie rozmownym i krzyliwym. Nagle Klemens zawołał:

— Ot i Pryhorki.

Taką nazwę nosiło wzgórze, obrosłe dębowym i brzozowym lasem, a o półtorej wiorsty może oddalone od wysokiego krzyża, od którego już krótki tylko i prosty kawałek drogi do Suchej Doliny wiódł. Ale tu znikały drzewa przydrożne, a otwierała się gładka równina.

Minęli Pryhorki i nic już przed sobą nie widzieli. Biało i biało: na niebie, ziemi i w powietrzu. Śnieg i śnieg wszędzie, ani drzewa, ani wiorstowego słupa, ani żadnego wzgórza.

(Dokończenie nastąpi).

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.